Nr. 24. Warszawa, dnia 13 (1) Czerwca 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYJAŚNIONA TAJEMNICA

Od chwili ujawnienia się tłumnej emigracyi z naszego kraju do Brazylii, daremnie stawialiśmy pytanie badaczom tego zjawiska, na jakiej rachubie pieniężnej odbywa się werbunek, co na nim zyskują agenci zagraniczni, kto ich opłaca i ponosi koszta przewozu wychodźców z Europy do Ameryki. Na pytanie to nikt nie umiał dać stanowczej i pewnej odpowiedzi. Zastępowano ją domysłami, plotkami, wiadomościami dziennikarskiemi, które może nieraz dość blizko przelatywały około prawdy, ale w nią nie trafiały. Wreszcie ks. Z. Chełmicki, zdaje się, dotarł do gruntu rzeczy i przedstawił w *Kuryerze warszawskim* fakty, objaśniające zagadkę ruchu emigracyjnego i naszych w nim nieszczęść. Oto ogólny zarys spekulacyi, która zarzuciła sieć na Europę i z naszego kraju wyłowiła kilkanaście tysięcy ludzi.

Zniesienie niewolnictwa w Brazylii, dojrzewające od r. 1866, dzięki staraniom ostatniego jej cesarza, jak wszystkie tego rodzaju akty, łączyło się z głębokim przełomem ekonomicznym. Zwłaszcza zaś „fazenderzy" (plantatorowie kawy), zagrożeni ubytkiem rąk roboczych, naprzód opierali się reformie, a następnie usiłowali wraz z rządem osłabić jej skutki napływem emigrantów z Europy. Początkowo przybywali zwabieni głównie portugalczycy i włosi, ale gdy wreszcie w r. 1888 wyzwolenie niewolników zostało ostatecznie dokonane, ten szczupły dopływ już nie wystarczał dla zrównania olbrzymiej straty rąk najmickich. Wtedy fazenderzy w interesie własnym, a rząd dla zatkania gąb krzyczących, przedsięwzięli sprowadzanie z Europy mas roboczych i w tym celu zawarte zostały kontrakty z dziesięcioma przedsiębiorcami o dostawę 750,000 ludzi. Za każdego emigranta skarb brazylijski obowiązał się zapłacić 168 fr.; ponieważ zaś towarzystwo przewozowe pobierało za transport po 125 fr. od sztuki, agent za namowę— po 16 fr., przeto każdemu z owych przedsiębiorców pozostawało czystego zysku 27 fr. na każdym złowionym wychodźcy. Pomnóżmy 27 przez 75,000, a otrzymamy możliwy zarobek wszystkich dostawców „białego mięsa." Nie sprowadzili oni dotąd całkowitej jego masy, więc nie zakończyli swych łowów, które jednakże dały im już ogromne zyski.

Po upadku cesarstwa i zaprowadzeniu rzeczpospolitej, zaczęła się szerzyć w Brazylii szeroka zgnilizna rabunków i nepotyzmu. Ręce myły ręce, nogi wspierały nogi. Spadł deszcz przywilejów, koncesyj, patentów, darowizn ziemi itd. Naturalnie trzeba było uregulować sprawę ściągania emigrantów, którzyby plantatorom zastąpili niewolników. Naczelnik rządu tymczasowego, generał Teodoro da Fonseca d. 28 marca 1890 r. podpisał nową ustawę, która otworzyła naoścież drzwi nadużyciom, sięgającym właśnie swymi rozmiarami aż do naszego kraju. Rząd zobowiązał się nietylko do pokrycia kosztów transportu każdego emigranta (120 fr.), ale nadto do wypłacenia nagrody 100,000 milrejsów za każde 10,000 przywiezionych wychodźców. Rozdając szczodrze ziemię krajowcom, nadawał im jednocześnie koncesye na sprowadzanie pewnej ilości rodzin z Europy. Koncesyj takich w ciągu kilku miesięcy trwania rządu tymczasowego udzielono na 1,475,750 rodzin. Nie dość tego. Koncesyonaryusze otrzymali jeszcze przywileje. Kolonizujący przynajmniej 30 rodzin, dostaje za każdą 200 milrejsów i 250 za dom dla niej; kolonizujący 200 rodzin dostaje nadto 1,500 milrejsów za każdy kilometr drogi komunikacyjnej; kolonizujący najmniej 500 rodzin dostaje nadto 800 milrejsów za kilometr drogi wewnętrznej. Do tego wszystkiego dodano jeszcze mnóstwo innych nagród i przywilejów. Każdy zaś osadnik otrzymuje ziemię za pewną opłatą, którą obowiązany jest ratami spłacić w ciągu lat 10 z procentem 4—[illegible]

Widzimy tedy, gdzie tkwi ten motor maszyny, która zgrabiła i zgniotła tylu nieszczęśliwych ludzi i kto jej dostarcza pary; widzimy dalej, że ją zasila rząd brazylijski i że obdarowani przez niego koncesyonaryusze ciągną istotnie z łowów emigracyjnych olbrzymie korzyści. Teraz i dopiero teraz staje się dla nas jasnem, czemu naganiacze tak energicznie krzątają się między ludem i czemu zwerbowani otrzymują karty bezpłatnego przejazdu z Bremy do Rio de Janeiro. Agenci i przedsiębiorcy, prowadzący *en gros* handel „białem mięsem," nie tracą nawet wtedy, kiedy emigranci okażą się niezdatni do pracy, wymrą lub ucikną z przeznaczonych im osad, gdyż „premie" wypłacane są od sprowadzonych.

„Przyjrzyjmy się teraz — pisze ks. Chełmicki — jak to prawo (z 1890 r.) wygląda w rzeczywistości. Jeżeli rząd za czasów cesarstwa mógł, o ile chciał, jako tako rozpościerać kontrolę nad działalnością płatnych przez siebie agentów (pierwsza forma), a skontraktowani w r. 1889 przedsiębiorcy pp. Santos, Trorillo itd., również mogli być w danej chwili opamiętani w swoich werbunkowych zapędach, to obecna trzecia forma agencyjnej maszyneryi usuwa się z pod wszelkiego nadzoru. Któż bowiem

rozsyłać będzie w tych warunkach agentów?

1) Towarzystwa przewozowe, którym *a tout prix* chodzi o zebranie 10,000 żywego towaru, za który nietylko otrzymują po 120 fr. od głowy, ale i premij 100,000 milrejsów. To więc werbować nie omieszkają na wszystkie strony i na wszelkie sposoby.

2) Towarzystwa lub osoby, obdarowane ziemią i posiadające koncesye na sprowadzenie określonej liczby rodzin. Ta kategorya werbowników rozpada się znowu na dwa gatunki:

a) takich, którzy mając złoty interes w ręku, zechcą z niego ciągnąć trwałe korzyści i dlatego kolonizować będą racyonalnie, zapewniając kolonistom dolę znośną;

b) spekulantów i aferzystów, którzy jedynie dbać będą o doraźne i sztuczne wyszrubowanie akcyj na giełdzie, aby osiągnąć prędki zysk, nie troszcząc się bynajmniej o losy kolonistów."

Ks. Ch. nie rozstrzyga, która kategorya kolonizatorów zdobędzie przewagę, zapewnia tylko, że prawie każdy ze spotkanych przez niego emigrantów był ucikinierem i opowiadał o swoich losach przerażające rzeczy.

Chociaż to odsłonięcie tajemnicy jest bardziej pouczające dla nas, którzy całą spekulacyę zrozumieć możemy, niż dla ludu, który jej nie ogarnie i nie uwierzy, sądzimy jednak, że da się wydobyć z tej smutnej prawdy pewne światełko, które do najciemniejszych głów przeniknąć zdoła. Chodzić nam powinno przedewszystkiem o wytłomaczenie ludowi zmienionych w Brazylii stosunków roboczych po zniesieniu niewolnictwa i o przedstawienie korzyści pieniężnych, jakie z jego łatwowierności i nieszczęścia ciągną agenci.

SPRAWY CZESKIE.

6 czerwca.

Obrady młodzieży słowiańskiej w Pradze. — Rozprawy nad odrębnością cywilizacyi słowiańskiej. — Uroczystość poświęcenia sztandaru „Slavii" i pochód historyczny. — Hr. Taaffe odbiera czechom nadzieję wprowadzenia czeskiego języka do urzędów.

Mimo iż zjazd młodzieży słowiańskiej w Pradze pełnych, jawnych posiedzeń odbywać nie mógł, wskutek zakazu policyi, zdołano porozumieć się co do głównych punktów programu na zebraniach prywatnych i na komersie wspólnym. Obrady były dla wszystkich ludów słowiańskich o tyle zajmujące, że warto poznać bodaj w głównych rysach ich przebieg.

Miał to być zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej austro-węgierskiej. Przybyło do Pragi około 400 osób z Wiednia, Gracu, Krakowa, Lwowa, Zagrzebia itd. Każda narodowość stanowiła sekcyę odrębną i każda, według pierwotnego programu, wysłać miała trzech przedstawicieli na narady wspólne. Wobec rozbicia zjazdu pełnego, uchwalono odbyć narady sekcyjne i polecić odnośnym referentom porozumienie się między sobą. Utworzyło się ogółem siedem sekcyj: rosyjska (ze stowarzyszenia wiedeńskiego „Bukowyna"), czeska, polska, rusińska, słowacka, kroacka i serbska. Nie brali zaś udziału w obradach bułgarowie (jako słowianie nieaustryaccy), ani słowieńcy, którzy nie zaliczają się do postępowców. Ostatni przybyli natomiast do Pragi na uroczystość poświęcenia sztandaru „Slavii."

Wieczorem w pierwszy dzień zjazdu zebrali się referenci wszystkich sekcyj w lokalu „Czasopisu czeskeho studenctwa" dla ułożenia wspólnej uchwały, która miała być zakomunikowana zgromadzeniu młodzieży słowiańskiej na komersie. Sekcye wprzódy już odbyły swe narady, lecz tylko polska, rusińska i czeska przedstawiły rezolucye starannie opracowane; inne poprzestały na ustnych oświadczeniach. Na pierwszem posiedzeniu referentów zdołano porozumieć się tylko co do pierwszego punktu programu: jakie jest położenie plemion słowiańskich w Austryi, jakim ich stosunek wzajemny i jakich reform w jej ustroju życzyłaby sobie młodzież słowiańska?

Pomijamy wszystkie „kwestye formalne," które utrudniały, jak zwykle, porozumienie się i tak niełatwe. Młodzież, dobrze obeznana z dziejami swych plemion, żywo ma w pamięci krzywdy, które wzajemnie wyrządziły sobie szczepy słowiańskie w Austryi i mimo głoszonej bezustannie „solidarności słowiańskiej," czuje dla sąsiadów bodaj czy nie większą niechęć, aniżeli ku niemcom lub węgrom. Oprócz zatargów między młodzieżą „russką" a „ruską," najbardziej zadzierali ze sobą kroaci i serbowie. Wprawdzie niedawno dopiero odbył się zjazd młodzieży serbskiej i kroackiej w Turn-Sewerinie, na którym zapewniono się o wzajemnej sympatyi: lecz na praskim otworzyły się znowu rany ledwo zabliźnione i bezustannie, zarówno podczas obrad, jak po za niemi, występował zacięty antagonizm tych narodowości. Młodzi serbowie i kroaci pamiętają nietylko zatargi historyczne, ale nawet wypominają sobie artykuły dziennikarskie. W rocznicę bitwy na Kosowem polu, obchodzoną uroczyście przez serbów, pewna gazeta napisała, że to kroaci walczyli z turkami i ich to król Łazarz zginął śmiercią bohaterską. W dzień ten Wuk Brankowicz z tysiącem towarzyszów zdradził Kroacyę, za co naród przeklął, aby ich żarł świerzb (po kroacku swerb). Przekleństwo ziściło się, a potomstwo owych winowajców po chorobie owej nazwano swerbami, czyli serbami. Rzecz jasna, że taki wywód rodu serbów nie bardzo się podoba ich młodzieży. Serbowie nawzajem zarzucają kroatom, że nie stanowią narodu odrębnego, że nie mają ani własnego języka, ani własnych pieśni ludowych. Przedstawiciele innych narodowości słowiańskich dokładali starań, aby uśmierzyć rozdrażnienie serbów i kroatów i w tym też celu uchwalili rezolucyę takiej treści: „Zjazd uznaje równouprawnienie pisma i imienia serbskiego i kroackiego w Bośni, Kroacyi i Słowenii." Lecz niewiele pomogła ta rezolucya do pogodzenia zwaśnionych, bo nazajutrz po owym wieczorze, kiedy odbyć się miało drugie posiedzenie referentów, nie przybyli ani serbowie, ani kroaci: pokłócili się rano i zaniechali dalszego udziału w obradach wspólnych. Mimo

---

4)

NOWY ABRAHAM.

Małka nie przestając jęczeć, wysunęła się za drzwi. Codzień przed południem przejeżdżały tędy sanki starego doktora. Stawał nieledwie co drugą bramę, wdrapywał się na schody, schodził do suteren przebywał długie i brudne jak ścieki dziedzińce, a zawsze odprowadzany przez kaleki i schorzałych, którzy w przejściu nawet korzystali z jego wiedzy lekarskiej. W mieście nazywano go doktorem żydowskim, szepcząc sobie do ucha różne ucieszne anegdotki, ale w oczy ubliżyć mu nikt nie śmiał; ufano jego nauce i — jak mówiono — szczęściu.

Jego to wyczekiwała Małka. Tuląc się w wielką chustkę z drgającem od chłodu i łkań ciałem, z wielkiemi jak gałki, zaiskrzonemi oczami, w głąb ulicy wpatrzonemi, podobna była do zwierzęcia, czyhającego na zdobycz. Całe życie skupiło się w tych oczach i w wielkiej żądzy zobaczenia oczekiwanego. I możeby żadne inne oko nie dostrzegło go tak prędko. Zaledwie w dalekiej perspektywie długiej ulicy ukazał się biały łeb znajomego siwosza, już ona go dostrzegła, już rozróżniła wśród innych przejeżdżających koni i krzyżujących się wozów. Daleko był jeszcze, gdy leciała ku przybywającemu, potrącając przechodniów, narażając się na odwet, nie słysząc zaklęć woźniców. Gdy sań dopadła, tchu jej zabrakło i słowa wymówić nie mogła. Ale stary doktór wiedział, co znaczą takie rozpaczne, błagające oczy, czego żądają takie półgroźne, półproszące, wyciągnięte dłonie. Usunął się nieco na siedzeniu, dał znak, aby obok niego siadła i kierując się jej wskazówkami, kazał skręcić furmanowi do bramy ich dziedzińca. Dróżka, wijąca się wśród kup śmietnikowych, powietrze nawet mimo mrozu przesycone wyziewami, domek skrzywiony, stary, sień niska, czarna, cuchnąca — wszystko to aż nadto mu znane; torując sobie drogę grubym kijem, kroczył tak swobodnie, jak był zwykł wchodzić do buduarów swoich bogatych pacyentek. Wszedłszy do izby, jednym rzutem oka ogarnął całe jej wnętrze. Bez zmiany w fizyognomii, bez oznaki wstrętu lub litości przesuwał się śród rozpełzłego po całej podłodze Chaimowego potomstwa. W głębi, na wysoko usłanem łóżku Lejzorek leżał blady i nieruchomy, z ręką spoczywającą w dłoniach ojca, który przysiadł się na brzegu łóżka i oka z niego nie spuszczał. Krótka była konsultacya. Jedno wejrzenie rzucone na twarz chorego dość powiedziało staremu praktykowi. Paru słowami jednak uspokoił alarmującą Małkę, zalecił chłodne kompresy, lód, w końcu jakąś miksturę, którą na kartce z notesu wydartej zapisywał na własnem kolanie. Podał receptę Małce z napomnieniem, aby natychmiast do apteki pobiegła. Ale widać jakaś myśl przyszła mu do głowy; powiódł raz jeszcze wzrokiem dokoła po dzieciach, po nierozpalonym dotąd piecu i znowu sięgnął do swego notesu, a skreśliwszy na kartce słów parę, podał ją Małce.

— Oddasz to w aptece — powiedział — to ci nic nie każą za lekarstwo zapłacić.

Poczem raz jeszcze zwrócił się do Lejzora i ucho ku jego ciężko robiącej piersi pochylił. Chaim tymczasem usunął się ku oknu i wyjąwszy z kieszeni dopiero co otrzymane pieniądze, zaczął je na dłoni przerzucać. Małka, której niespokojne oczy widziały wszystko, rzuciła się do męża i badawczo przez ramię mu spojrzała.

— *Hörste*! syknęła z cicha spostrzegłszy sporo miedziaków zostawionych na ręku — Nu, na co tego aż tyle! Czy to my bogacze!

Palcem przesunęła pieniądze; cofnęła z nich jeden, potem dwa, wreszcie zgarnęła wszystkie, pozostawiając jedne tylko dziesięć groszy.

— Niemożna tak — perswadował szeptem Chaim.

Oczy żydówki błysnęły groźnie, ciemny rumieniec przeleciał po jej twarzy. Zgarnęła z dłoni męża ostatnią dziesiątkę i wszystko razem wsunęła sobie do kieszeni. Chaim spojrzał na nią pytająco.

— Już ja wiem, zrobię to lepiej od ciebie — powiedziała tonem stanowczym.

Chaim nie protestował; dobrze znana mu była praktyczność jego małżonki, w głębi ducha głowę przed nią uchylał, uznając niższość swoją w tym względzie. Zostawiwszy więc tę kwestyę jej praktycznemu rozsądkowi, pośpieszył do Lejzorka.

— A cóż panie doktór? Co łaskawy pan na niego myśli?—spytał z jakąś smutną powagą, niespokojnie oczy w twarz jego wpijając. Doktór twarz odwrócił i nie patrząc na niego, rzekł z cicha:

to referenci innych sekcyj prowadzili dalej narady i porozumieli się co do drugiego punktu programu: jakie są poglądy postępowej młodzieży słowiańskiej na kwestye polityczne i jakich żąda zmian w ustroju politycznym Austryi? Uchwalono, że młodzież, stojąc na gruncie zasad swobody i równości braterskiej, domaga się powszechnego głosowania, zniesienia armii i zastąpienia jej milicyą narodową, odpowiedzialności urzędników państwowych i rozszerzenia kompetencyi sądów przysięgłych.

Z kolei przyszły pod dyskusyę kwestye oświaty i wychowania. Inicyatywa przypadła tu rusinom, którzy wnieśli rezolucyę, przyjętą jednomyślnie przez reprezentantów wszystkich narodowości słowiańskich. Żąda ona wykształcenia na podstawie nauk pozytywnych i reformy szkolnictwa w tym duchu, aby ono stało się własnością wszystkich warstw narodu, nie zaś przywilejem grup ograniczonych. Gorący spór wywiązał się wskutek orzeczenia, poddanego pod obrady przez członków „Bukowyny“: „Wierzymy w odrębną, samodzielną kulturę słowiańską, której opatrzność przeznaczyła przodującą rolę w Europie.“ Wnioskodawca, Aleksiewicz, upatruje cechy tej odrębnej kultury w języku, zwyczajach, życiu rodzinnem, głównie zaś w tolerancyi, którą słowianie różnią się od innych narodów. Przeciw temu wystąpił naprzód przedstawiciel kroatów, przecząc jakoby istniała odrębna cywilizacya słowiańska. W tym samym duchu przemawiali rusini, wykazując międzynarodowy, ogólno-ludzki charakter cywilizacyi oraz złudność owej tolerancyi, wspólnej rzekomo wszystkim szczepom słowiańskim. Słowacy chcieli poprzeć pogląd Aleksiewicza, wskazując na fakt samego zjazdu, świadczącego o pewnej jedności. Odpowiedziano im na to, że bez wątpienia istnieją pewne węzły, łączące szczepy słowiańskie, pokrewieństwo języków, interesy polityczne itd., lecz właśnie cywilizacya łączy słowian z innymi narodami oświeconymi i że zjazd młodzieży w Pradze miał na celu zaznaczenie tej wspólności, nie zaś separatyzmu. Z tymi poglądami zsolidaryzowała się większość obecnych i odrzuciła wniosek Aleksiewicza.

Spory nad kwestyami ekonomicznemi nie doprowadziły do rezultatu zupełnie zadawalającego. Wnioskom sekcyi polskiej i rusińskiej sprzeciwili się czesi, kroaci i słowacy, ze stanowiska narodowościowego. Zgodzono się wreszcie, aby nie głosząc żadnej zasady ogólnej, żądać szeregu reform ustawodawczych, a zatem zmiany systemu podatkowego, rozwoju ustawodawstwa fabrycznego, ochrony drobnej własności itd.

Ostatnim punktem programu była dyskusya nad szczegółowymi punktami, obchodzącymi jedną z narodowości zebranych. Czesi zaprotestowali przeciw policyi czeskiej, utrudniającej studentom udział w życiu politycznem; polacy — przeciw zachowaniu się pewnych warstw w Galicyi wobec rusinów; słowacy wezwali wszystkie grupy słowiańskie w Węgrzech do ściślejszej zgody w celu walki o równouprawnienie. Wreszcie wystąpili czesi z dwoma życzeniami: aby dla każdej narodowości słowiańskiej w Austryi osobny założono uniwersytet, i aby wszyscy posłowie słowiańscy w Radzie państwa przemawiali językiem ojczystym, a w ten sposób dowiedli bezzasadniczości parlamentu centralnego.

Wreszcie uchwalono, aby „Czasopis czeskeho studenctwa“ uważać odtąd za organ młodzieży słowiańskiej w Austryi i corocznie odbywać zjazdy. Następny odbyć się ma w Wiedniu, gdzie w ciągu roku najbliższego wybrany zostanie komitet organizacyjny. Komers wspólny, łączący wszystkich uczestników zjazdu, okazał pocieszające skutki zbliżenia się dzielniejszych jednostek.

Przeprowadzę teraz czytelników do uroczystości sztandarowej „Slawii,“ w której wszystkie koła inteligencyi praskiej żywy wzięły udział. Głównym punktem był pochód historyczny, urządzony w sposób okazały i prawdziwie artystyczny na wzór wielkich pochodów kostiumowych, które w ostatniem dziesięcioleciu odbywały się w Wiedniu i stolicach niemieckich. Wyruszył on ze szkoły technicznej i przeszedł przez całe niemal miasto placem Karola, ulicą Ingmana i Ferdynanda na wyspę św. Zofii. Na czele widziano konnego studenta w przybraniu z czasów wojny trzydziestoletniej, za nim sześciu towarzyszów równie ustrojonych. Dalej sześciu trębaczow i dwudziestu pieszo kroczących studentów ze sztandarem. Za nimi zjawił się pierwszy obraz historyczny: założenie wszechnicy praskiej przez Karola IV. Na wozie, zaprzężonym w sześć rumaków, umieszczono posąg tego monarchy i cztery grupy studentów w kostiumach z tej epoki: czeską, polską, węgierską i niemiecką, wreszcie grupę profesorów, bakałarzy i teologów. Za wozem postępował znowu szereg studentów, oddzielając obraz pierwszy od wozu, ilustrującego okres Rudolfa II. Grupę tę otwierała gromadka studentów w kostiumach ówczesnych, a na wozie widziano Rudolfa II, przyjmującego hołd dwóch astrologów i alchemików. Po obu bokach tronu stał rzeźbiarz i malarz, a dokoła rozrzucono księgi, zwoje, globusy, retorty itd.; przed tronem — paź z tarczą alchemiczną i literat z pergaminem w ręku. Grupa ułożona była z niezwykłym smakiem artystycznym. Za nią postępowała bardziej malownicza, dramatyczna, wyobrażająca epizod z wojny trzydziestoletniej. Szwedzi pragnęli wejść do Pragi wraz z emigrantami husyckimi; lecz Jezuici, na ich czele Plachy, namówili studentów do zastąpienia im drogi i niedopuszczenia do mostu praskiego. Na wozie przedstawiono wieżę tego mostu na Starem mieście, bronioną przez studentów. Jest to epizod znany powszechnie w Czechach, gdyż i na wystawie malarze czescy, bracia Giebscherowie, przedstawiają tę chwilę.

Ostatnią, najwdzięczniejszą grupę tworzyły kobiety ze sztandarem „Slavii.“ Sześć białych koni ciągnęło ich wóz, studenci w strojach wiśniaczych prowadzili konie za uzdy. Sztandar „Slavii,“ dar pań czeskich, powiewał wysoko w ręku gieniusza; dokoła grupa dziewic w strojach słowiańskich. Po obu stronach wozu kroczyło 16 dziewcząt w białych sukniach i tyluż studentów z dobytymi rapierami.

Pochód zamykał szereg deputacyi i stowarzyszenie akademickie „Slavia.“ Właściwa uroczystość poświęcenia sztandaru i wbicia weń gwoździ odbyła się na wyspie św. Zofii, gdzie w wielkiej, wspaniale udekorowanej sali, stanęły matki chrzestne chorągwi oraz wiele zaproszonych dygnitarzy. W zastępstwie chorej Karoliny Svetta, literatka Zofia Podlewska zagaiła uroczystość przemową, poczem nastąpiło wbicie

---

— Albo to doktór Bóg? Robi się co można.

Chaim nizko głowę pochylił.

— Macie tu tego dosyć — powiedział znów doktór, wskazując na cisnące się do kąta dzieci. — Gdzie ich tak wiele, trudno wszystkich zdrowo wyhodować.

Machnął ręką, jakby z własnych słów niezadowolony, obejrzał się za kijem, nasunął czapkę na oczy i podążył do wyjścia. Chaim ocucony z zamyślenia postąpił za nim.

— Ach, panie doktór — ozwał się z powagą — ja panu doktorowi bardzo dziękuję, niech pan doktór zawsze będzie zdrów...

U drzwi czatowała Małka. Osypała doktora podziękowaniami, błagając zarazem, aby jutro także ich odwiedził; przytem podała mu maluchny zwitek, w kawałek bibuły zaciśnięty. Lekarz, niewiele uwagi zwracając na jej żywe, donośne trzepanie, podany zwitek wsunął do kieszeni i raz jeszcze zaleciwszy dla chorego spokój i ścisłe wypełnienie jego poleceń, wyszedł.

Gdy wsiadł już do sanek, sięgnął do kieszeni. Dobroduszność pojawiła mu się na twarzy, gdy rozwijał tak pracowicie ułożoną bibułę, lecz przeszła ona w cichy, ucieszny śmiech, gdy w zwitku spostrzegł trzy stare guziki. Śmiejąc się wciąż, wsunął je napowrót do kieszeni paltota i szepnął do siebie.

— Ho, ho, dzisiejsze żniwo będzie bodaj jeszcze obfitsze, niż wczorajsze.

Dzień cały Lejzorek leżał nieruchomy, nic nie mówiąc. Znosił cierpliwie chłodne okłady, wypijał mikstury, poddawał się gwałtownym wybuchom matczynej troskliwości, lecz ulgi mu to nie przyniosło. Już gasł. Powoli się wkradała i brała go w posiadanie swoje ta wielka władczyni, co oporu nie znosi i błagań nie słucha, ta moc niezwyciężona, co gdy tchnieniem na kogo powieje, to go niepowrotnie zagarnie, ta siła potężna dzierżąca porządek świata, ta noc dnia wszechbytu, która do wszelkich świateł swoje cienie miesza i z mroków swoich urabia kolebkę życiu.

Dzień się kończył, ostatnie promienie słońca dogasały i z nimi gasły blade promyki nędznego żywota. Flaszka mikstury była już opróżniona; mokrą szmatę, którą Chaim niósł mu do głowy, Lejzorek powolnym ruchem ręki usunął; chciało mu się odpocząć. Przycichł bardziej jeszcze, przestał nawet kaszlać i twarz mu zaczęła się wypogadzać i z wszelkich cieni bolości wyjaśniać.

— Śpisz? — spytała Małka, pochylając się nad nim.

— Czy spać będziesz? Czy ty już śpisz? — wołała potrząsając go za ramię.

— Będę spał — odrzekł cicho, podnosząc na nią oczy pełne niewypowiedzianej przykrości.

— Śpij, moje dziecko — dodała, poprawując poduszkę tak energicznie, że głowa chorego zapadła pod ścianę. — Po mąkę tymczasem polecę.

— Idź już, idź, ja z nim posiedzę — odezwał się Chaim, może odczuwając w chorym potrzebę spokoju.

Po kilku chwilach, gdy w izbie ucichło zupełnie, Lejzorek oczy otworzył.

— Czy poszła? — spytał.

— Poszła.

— Ja spać nie będę, ja spać nie chcę. Mnie już nic nie boli, jest mi lepiej... gdybym tylko mógł westchnąć, głęboko, raz jeden... Duszno tu.

Chaim przysiadł się na krawędzi łóżka i chudą dłoń chłopca ujął w obie swe ręce.

— Tate, a gdybyś ty okienko otworzył?

— Dzisiaj mróz wielki.

— Ale będzie dużo powietrza... Dużo świeżego, czystego powietrza. Czy tego nie można?

Chaim obejrzał się po izbie. Nikogo w niej nie było oprócz dwojga najmłodszych ukrytych za piecem; wstał i drzwi nieco uchylił.

Struga chłodnego powietrza wpadła do izby i wsiąkać poczęła w duszną jej atmosferę.

Lejzorek westchnął głębiej.

— Tak dobrze — wyszeptał. — Tate, weź moją głowę i odwróć ją do okna. Ot tak, jeszcze trochę! Chcę widzieć, czy gwiazdy już świecą? Ale u nas nigdy gwiazd nie widać, ani słońca...

Nagle uczuł Chaim drgnięcie drobnej dłoni.

— A czyś ty jej odniósł suknię? — zapytał chory z zaognionemi nagle oczami.

Chaim położył rękę na falujących włosach chłopca.

— Odniosłem, odniosłem. Jak ty to wszystko pamiętasz?

— I rada była? nie łajała? i dała pieniędzy?

— I dała, i nie łajała; nie myśl już o tem.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Nie lubię jak ciebie łają. Nikt ciebie nie powinien ła-

gwoździ; przy końcu przemawiał prezes „Slavii,“ któremu wręczono sztandar.

Podczas gdy na ulicach Pragi śpiewano „Kde domow muj,“ i bez przeszkody oddawano się marzeniom rozkołysanego „autonomizmu,“ w parlamencie wiedeńskim hr. Taaffe zgotował czechom niespodziankę wielce niemiłą. W komisyi budżetowej, przy etacie ministerstwa spraw wewnętrznych, a w szczególności przy tytule „zarząd centralny,“ toczyła się dyskusya wyłącznie niemal około spraw politycznych i narodowościowych. Posłowie młodo-czescy Herold i Kaizl poruszyli sprawę dalszego rozwoju ustaw zasadniczych w duchu autonomicznym i ostro krytykowali rozporządzenia, które wprost sprzeczne są z duchem tych ustaw. Herold, po dłuższym ustępie o zgodzie czesko-niemieckiej, zaznaczył, że na polu równouprawnienia narodowości nie uczyniono żadnego kroku naprzód i zwrócił uwagę rządu na słuszne żądania czechów co do języka urzędowego w służbie wewnętrznej. Hr. Taaffe odrzekł, że za główne zadanie rządu uważa wzmocnić podwaliny konstytucyi. Lecz dalszy rozwój praw zasadniczych natrafia w Austryi na wielką przeszkodę, gdyż sprawy konstytucyjne są traktowane wyłącznie prawie ze stanowiska narodowego. Warunkiem rozszerzenia autonomii jest pokój między narodowościami, bez tego bowiem sprzeczności istniejące dziś musiałyby się zaostrzyć. Rząd pragnął zabezpieczyć warunek ten przez ugodę czesko-niemiecką, która dotychczas nie jest dokonaną; co do języka, to rząd obstawać musi przy niemieckim, gdyż to jedyny środek utrzymania jednolitości w administracyi, pominąwszy już to, że spełnionie życzenia czechów napotkałoby na niepokonane trudności finansowe. Natomiast rząd uważa za konieczne, aby w stosunkach z ludnością pod każdym względem zadawalano jej potrzeby co do języka ojczystego.

Odpowiedź hr. Taaffego, odbiwszy się echem w artykułach tryumfalnych *Neue freie Presse*, głęboko przygnębiła stronnictwo młodoczeskie. Objawy usposobienia tego wystąpią niebawem podczas obrad nad budżetem w pełnej Izbie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Książę Walii nie należy do pitagorejczyków, przeciwnie hołduje zasadom Epikura. Od dawna jest to dla wszystkich publiczną tajemnicą, że następca tronu angielskiego życzy swej matce najdłuższego życia nietylko z powodów miłości synowskiej, że do korony wcale nie tęskni, że najchętniej przebywa *incognito* w Paryżu, gdzie pije rozkosze z wszelkich kielichów, że wesołe towarzystwo jest najmilszem dla niego królestwem, że woli klub, niż gmach ministeryalny, że przed polityką chroni się w grona pięknych kobiet, że konie, karty i wesołe rozrywki pochłaniają go całkowicie, że wreszcie ma olbrzymie długi, które już zaczęły go przygniatać swym ciężarem i które matka obiecała spłacić. Było to — jak mówimy — publiczną tajemnicą, ale tajemnicą. Mówiono o awanturkach i słabościach księcia na dole głośno, u góry cicho, zachwycano się „pierwszym gentlemanem,“ ale ciągle jego życie prywatne pozostawało pod przejrzystą zasłoną. Niejaki sir Wiliam Gordon-Cumming, należący do stałych towarzyszów księcia, został złapany na oszustwie przy grze karcianej i pod naciskiem świadków wystawił piśmienne zobowiązanie, że nigdy kart nie weźmie do rąk. Pod tym tylko warunkiem miano dochować sekretu jego winy. Występki honorowe jednak mają swoją ostrą woń, która przedostaje się z najstaranniejszego ich ukrycia i rozszerza szybko. Wkrótce też zaczęto mówić w „wysokich towarzystwach“ o oszustwie Cumminga. Ponieważ wobec tego nie miał on już nic ani do stracenia, ani do zyskania, więc zaskarżył kilku „potwarców“ do sądu. Między świadkami powołany został ks. Walii. W Niemczech, gdzie nawet Bismarka nie śmiano wzywać przed trybunał, uwolnionoby następcę tronu od tej przykrości. Ale w Anglii tylko monarcha korzysta z takiego przywileju. Książę więc musiał stanąć i złożył zaprzysiężone świadectwo przeciw Cummingowi, który też przegrał sprawę. Przegrał ją wszakże i jego dostojny oskarżyciel. Bo podczas badania sądowego okazało się, że on uprawia grę hazardowną i nie przebiera w swych towarzyszach, skoro między nimi mógł się znaleźć oszust, długo tolerowany, zanim go zdemaskowano. Po skończeniu też procesu prawie wszystkie pisma angielskie mniej lub więcej wyraźnie dały księciu naukę. *Times* radzi mu, ażeby również podpisał deklaracyę, że nigdy grać nie będzie; *Morning Chronicle* obiecuje fatalne skutki dla przyszłego monarchy; *Daily News* powiada że on nosi się z przepisami bakkarata jak mahometanin z dywanem, na którym odprawia modły; *Standard* zaleca także zaprzestanie gry itd. Rzeczywiście książę Walii w miarę przybliżania się do tronu, który w Anglii ma głównie oporę moralną, powinien coraz bardziej liczyć się ze swem postępowaniem i pamiętać o tem, że jako uosobienie prawa, powagi, majestatu, nie może obnażać charakteru zmąconego poziomemi uciechami. Korona jest wielkim darem, trzeba więc albo jej się zrzec, albo stać się jej godnym.

Burza, wywołana w Niemczech odmową rządu w sprawie zniżenia lub zawieszenia ceł zbożowych, groży się z wielką siłą, którą czerpie z istotnych potrzeb narodu i ze słabych argumentów, przytoczonych przez kanclerza w sejmie. Caprivi wprost fałszywie przedstawił położenie rzeczy i puścił się na wywody ekonomiczne, w których mu wykazano grubą nieznajomość przedmiotu. Za zbyt wszakże jego odmowa była stanowcza, ażeby rząd mógł się cofnąć. Postępowcy wnieśli do sejmu pruskiego interpelacyę i przygotowują energiczny atak.

W Izbie tej obradowano nad prośbą ziemian o dopuszczenie robotników zagranicznych (z Król. Pols.) do zajęć rolniczych, przyczem wielu posłów ostro potępiło ustawy wyjątkowe co do ludności w Poznańskiem.

Nordd. Allg. Ztng donosi, że zamożniejsze sfery tej prowincyi oświadczyły gotowość ponoszenia kosztów nauki języka polskiego w szkołach ludowych, dozwolonej przez rząd.

W Wiedniu zniesiono częściowo przepisy stanu wyjątkowego. Liberałowie zaś przyznali ministrowi spraw wewnętrznych fundusz dyspozycyjny.

Rzezie chrześcian w Chinach ponowiły się w Wusuch. Posłowie rozmaitych państw wystąpili z przedstawieniem do rzdu chiń-

---

jać, prawda? Ty ciągle pracujesz i nic nikomu złego nie robisz; na co łajać tego, co ciągle pracuje i nic złego nie robi?.. Czy gwiazd jeszcze nie widać?

— Na ulicy świecą już może.

Nastało milczenie. Zmrok szary napływać zaczął przez małe okienka chaty. Chaim wpatrywał się w rysy dziecka, które przy gasnącem świetle traciły ostrość linii i rozpływać się niejako zdawały.

— Czy to tam jest niebo za temi latarniami? — zapytał chory.

— Za latarniami?

— Za gwiazdami. To przecie są latarnie Boga. On tam mieszka; siedzi na pięknym tronie, wysoko... a anioły tańczą przed nim, śpiewają...

Mówił to cicho, do siebie raczej; ostatnie słowa w szept się rozpłynęły.

Wpatrzonemu weń Chaimowi twarz syna w mrokach wieczornych wydała się jasną i przezroczystą, jak twarz śpiewającego anioła; mimowoli palce jego zacisnęły się silniej dokoła drobnej ręki.

— Tate — odzywa się znowu Lejzorek — w niebie lepiej być musi, niż u nas? Czy tam nikt nie szyje?

— Tamte suknie pewno nie zdzierają się — odparł Chaim.

— I nikt nigdy przez cały dzień nie siedzi tak, co to aż w piersiach zaboli?

I zaraz sam sobie marzeniem własnem odpowiadać począł:

— Tam wszystkie dzieci, wszystkie chłopcy małe chodzą sobie tylko po niebie i bawią się z aniołami. Nic im robić nie każą. Niema stołów takich, przy których cały dzień siedzieć trzeba, ani igieł, ani nożyc; maszyna nie huczy, głowa nie boli i tak jest cicho, cicho...

Zamilkł, pogrążony w marzeniach nad rozkoszami nieba; snać jednak nie bardzo były bogate, bo wkrótce błądząca myśl innego przedmiotu szukała.

— Tate — przemówił głośniej nieco — powiedz mnie co o Jakóbie lub o Józefie; ty tak to ładnie opowiadać umiesz.

— Nic, Lejzorke, jesteś słaby, jak wyzdrowiejesz...

Głos nagle ugrzązł mu w gardle, coś mu serce jakby kleszczami ścisnęło; nie mógł dokończyć.

— Powiedz — prosił Lejzorek — jeśli nie chcesz o Józefie, to choćby o Izaaku.

— Och, dziecko moje — jęknął Chaim.

— Czy Abraham bardzo płakał kiedy Bóg kazał mu oddać syna?

— Nie myśl ty teraz o tem; po co ty mówisz o tem — prosił ojciec.

Ale chory zdawał się go nie słyszeć.

— Izaak pewno nie płakał. On myślał sobie, że jak przyjdzie do nieba, to i stamtąd będzie mógł zawsze patrzeć na swoją chatę, a będzie tam prosił Boga, aby odjął troszkę pracy jego ojcu, aby mu przysłał błogosławieństwo swoje, aby aniołom kazał pamiętać o nim...

Znowu ostatnie słowa w szept się rozpływały. Oczy zbladły i przysłoniły się powiekami, po twarzy przeszedł cień, jakby tchnienie nicości już nań powiało. Po chwili jednak otworzył oczy i z nowem pytaniem zwrócił je na ojca.

— Dlaczego to... Nie pamiętam, dlaczego? Co to jest, że ja nie pamiętam? — przerwał sobie zaniepokojony. — *Szpektor* będzie się gniewał; tate, powiedz ty, ja już zapomniałem.

Błagał tak pokornie i ściskał zlekka dłoń ojca.

— Nu, czego ty chcesz...

— Dlaczego to... O co to chciałem pytać? Nie pamiętam już — szepnął cicho i głowa bezsilnie spadła mu na piersi.

Nastała dłuższa chwila ciszy; słychać w niej tylko było oddech ciężko robiącej piersi.

Po chwili w oczach chorego znowu zatliło się życie. Ale tylko już w oczach; twarz ciemniała i stygła. Życie wygnane z całego organizmuześrodkowało się w spojrzeniu i miało jakąś olbrzymią, ostatnią moc.

— Tate — zaszeptał, wpierając w ojca ten wzrok palący i nieruchomy — tate, dlaczego Izaak miał ginąć?

Chaim pod mocą tego spojrzenia tchnąć nie śmiał.

— Ofiara — głos naginając, wyjąkał.

— Ofiara? Po co ta ofiara? Po co na ofiarę dawać dzieci? Czy ich nie szkoda? — badał syn, nie zdejmując zeń oczu.

A gdy ojciec milczał, on uniósł się nagle z posłania, ręce wyciągnął ku oknu i wychylając głowę, pełną wzburzonych kędziorów, zawołał ku jakimś niewidzialnym istotom:

— Po co wam ta ofiara? Nie bierzcie mnie, nie bierzcie!

Nagle struga chłodnego powietrza, od uchylonych drzwi idąca, owiała jego wpół-

skiego, a eskadra francuska zagroziła bombardowaniem Nankinu.

Na Haiti wybuchł rokosz, który prezydent Hippoliti tłumi zapomocą strasznych okrucieństw.

LITERATURA I SZTUKA.

PRASA NAUKOWA.

Wydawnictwo książkowe jest u nas najleniwszym z żółwiów. Spływa ono żwawo tylko korytem nowelek i humorystycznych kalendarzyków, niesłychanie zaś rzadko po nad tamy, z wielorakich przyczyn na drodze ruchu książkowego utworzone, przerzuca wydawcy — prócz mętów i piany literackiej — jeszcze jaki cenniejszy nabytek książkowy. Produkcya literacka nie znajdując ujść szerszych przeciska się szczelinami, wytwory jej bez nadziei przyobleczenia się w trwałą szatę książek i dostania się na półki sklepów chwytają nikło sukienczyny artykułów i cisną się po kącikach czasopism. Z tego względu miesięczniki nasze, udzielające schronienia płodom poważniejszym, budzą niemały interes.

Biblioteka warsz. w zeszycie majowym rozpoczęła drukować pracę p. I. Blocha p. t. „Ziemia i jej odłużenie w Królestwie Polskiem." Praca to, ze względu na zawarty w niej materyał statystyczny, nader interesująca. W pierwszej jej części autor zestawia i ocenia warunki, przy jakich nasze gospodarstwo rolne przystępuje do współzawodnictwa z innemi gałęziami gospodarstwa społecznego, a więc cenę ziemi i jej płodów, koszta produkcyi, opodatkowanie, wpływ ceł wchodowych, w drugiej usiłuje wykazać stopień odłużenia ziemi. P. B. jest zdania, iż sposób prowadzenia gospodarstwa u nas jest nie racyonalny i że dla zapewnienia rolnictwu lepszych szans w walce konkurencyjnej niezbędnem jest podniesienie kultury rolnej. Zestawiając tę potrzebę z brakiem odpowiedniego kredytu, wskazuje konieczność utworzenia kredytu melioracyjnego i takiej jego organizacyi, która by uniemożliwiła użycie sum pożyczkowych na inne niegospodarskie potrzeby właściciela. Najciekawszym w rozprawie p. B. jest materyał statystyczny, odmalowywa nam bowiem obecne warunki rolnictwa u nas i odłużenie ziemi. Przedewszystkiem cyfry stwierdzają niemal powszechną obniżkę cen na produkty rolne, przesilenie jednak nie wszędzie równie dotkliwie uczuć się dało, niektóre bowiem rodzaje wytwórczości, związane bezpośrednio z rolnictwem, zdołały się oprzeć przełomowi — np. ceny inwentarza żywego nietylko nie spadły, lecz poszły w górę i to bardziej, niż obniżyły się ceny wszystkich prawie gatunków zboża. Te więc gospodarstwa, które podniosły hodowlę zwierząt, strat w ostatecznym rezultacie w ciągu lat ostatnich nie doznały; nasze jednak, pozostając wciąż przy produkcyi ziarna, wełny, cukru i spirytusu, to jest tych mianowicie wytworów, które najbardziej spadły w cenie, nie miały czem pokryć strat poniesionych. Przeciętne ceny ziarna w portach Rosyi uległy obniżce od r. 1876 dla pszenicy 32%, żyta 40%, owsa 34%. Obniżka ta dla naszych rolników tem jest dotkliwsza, iż produkcya w Królestwie wypada o wiele drożej niż w Rosyi, i że żyto, najmniej dziś popłatny towar, stanowi u nas główny wytwór rolnictwa. Wyprodukowanie 100 pudów żyta wypada u nas drożej, niż w jakiejkolwiek części Cesarstwa. Różnica ta w porównaniu np. z gub. Grodzieńską wynosi na niekorzyść naszą 6 rs., w porównaniu ze stepowemi 29. To też kiedy na 100 pudach żyta czysty zysk dochodzi w gub. stepowych do 9 rub., u nas *strata* sięga 6 rub. Produkcya pszenicy również wypada drożej, jakkolwiek zaś strat nie przynosi, daje jednak dochód mniejszy, niż w gub. zachodnich. Cena ziemi uległa obniżce, która w latach 1882 — 1887 wyniosła 29%. Podatki rolne w Królestwie są większe przeszło 4½ razy, niż najwyższe, a przeszło 10 razy niż najniższe w Cesarstwie; w porównaniu z dochodami podatki u nas są kilkakrotnie wyższe, niż najwyższe w Cesarstwie. Dodawszy, iż straty wypływające z nałożenia ceł ochronnych w Niemczech i innych państwach są dla nas o wiele znaczniejsze, niż w Rosyi, widzimy, iż rolnictwo u nas potyka się o wiele nieprzyjaznych warunków. Z 84 powiatów Królestwa autor z trudem i przeszkodami dostał się do ksiąg hypotecznych tylko w 64. Wiadomości jego dotyczą 9,429 dóbr. Wierzytelności hypoteczne ugrupował w 6 rodzajach: dług Towarzystwa Kred., prywatne, reszty szacunku, reszty posagów, należności skarbowe, kaucye i ewikcye. Majątki dzieli na nierozparcelowane i rozparcelowane, osobno oblicza majątki chrześciańskie i żydowskie, wszelkie zaś posiadłości mieści w pięciu kategoryach poczynając od drobnych, obejmujących mniej niż 60 morgów do wielkich, przenoszących 3,000 morgów. Wartość dóbr przyjmuje autor na podstawie należności Towarzystwa Kredytowego, wychodząc z zasady, iż pożyczka przez nie udzielana równać się powinna połowie szacunku dóbr, redukuje stosunek ten do 40% istotnej wartości. Całkowite odłużenie hypoteczne w dobrach zbadanych wynosi 196,2 mil. rubli, w tej liczbie dług Towarzystwa Kredytowego 73,7 mil. Jeśli ten ostatni oznaczymy liczbą 100, to całość obciążenia wyrazi się liczbą 266; przyjąwszy zaś iż dług Towarzystwa wynosi 40% wartości dóbr, otrzymamy, iż te ostatnie dźwigają ciężary wyżej swego szacunku. Ciężary te obarczają morgę 44 rs. Z rozmaitych względów wysokość ich należy nieco zredukować; najbardziej zbliżoną do prawdy cyfrą wydaje się autorowi rs. 38 kop. 50 na morgę. Przyjąwszy przeciętną wartość morgi rs. 50 czyli znacznie wyższą, niż ustalona w r. 1879 przez Towarzystwo Kred., otrzymamy, iż przy ogiędnym rachunku obciążenie sięga już $^{4}/_{5}$ wartości. Wreszcie po odtrąceniu kaucyj, ewikcyj, należności skarbowych, sam dług Towarzystwa razem z prywatnymi przerasta *połowę* przypuszczalnej wartości morgi, podniesionej do *maximum*. Jakkolwiek więc cyfry autora nie są zupełnie ścisłe, wskazują jednak niewątpliwy fakt odłużenia nadmiernego. Rozpatrując procentowy stosunek dóbr na różnych stopniach odłużenia, otrzymujemy: 24% ogółu dóbr obciążonych jest dwa lub przeszło dwa razy więcej, niż wynosi pożyczka Towarzystwa, czyli iż długi są bardzo bliskie szacunku lub nawet go przenoszą; 22% dźwiga prócz pożyczki Towarzystwa inne ciężary, nieprzekraczające jej wysokości; 17% niema wcale żadnych ciężarów; 15% tylko należność Towarzystwa. Brakujące 22% tworzą

---

nagą pierś. Chwycił w usta powietrza raz, drugi, zachłysnął się, drgnął przewróconemi białkami i zsiniały, ściśnięty w sobie, opadł na poduszki.

Chaim rzucił się ku niemu.

— Lejzerko, Lejzerko! — wołał rozpacznie, układając go, otulając, rzeźwiąc wodą i resztkami lekarstwa.

Długa jednak chwila upłynęła, zanim chory resztkami płuc potrafił uchwycić powietrza.

— Nie mów ty już nic, leż spokojnie — błagał ojciec.

Chory leżał już spokojnie i nie mówił nic. Ogromny wysiłek zabrał mu sił ostatki; leżał bezwładny z przysłoniętemi oczami, z rękami nieruchomo wzdłuż ciała spoczywającemi, z głową nizko na piersi spuszczoną i stawał się już bryłą ziemi, lampą, z której ostatni płomień ostatnią kroplę ssał. Gdyby nie ruch piersi i głucha w nich gra, zdawać by się mogło, że zastygł. A Chaim wciąż siedział na krawędzi łóżka; siwą głowę pochylił nizko, złożywszy ją na rękach o kolana opartych; palce weszły głęboko i mocno w siwe włosy. Siedział i myślał.

Szukał tej prawdy, któraby go nauczyła, dlaczego to dziecko opuszcza go tak nagle i tak niepowrotnie? Dlaczego ginie tak marnie, jak istne źdźbło suchej trawy, które na nic już nikomu nie jest potrzebne? On — niepotrzebny! Za co go Bóg karze tak srogo? Zakon ich uczy, że grzechy ojców karane są śmiercią dzieci, lecz daremnie usiłuje przypomnieć sobie tak wielkie przewinienie, któreby zasługiwało na podobną karę. W życiu ustawicznej pracy, w którem niewiele więcej widział nad stół do zajęcia i mało co więcej słyszał nad wołanie o chleb żony i płacz dzieci, miejsca nawet dla strasznych grzechów nie było. Wół, który jarzma nigdy nie zrzuca, nie może być ani tygrysem, ani szakalem — ani człowiekiem. I nie wie na pewno Chaim, czy nie jest drugim Abrahamem, który musi syna poświęcić i sam własnoręcznie być jego ofiarnikiem? Wprawdzie żaden anioł nie zwiastował mu tego rozkazu, ale czyż nie on sam, jak tamten ojciec, budował stos dla swego dziecka? I zdaje mu się nawet, że tam ot ten stołek, ten stół do roboty, w ciemnościach wieczoru szarzejący, rosną jakoś olbrzymio i przybierają kształty owego stosu, na wysokości Moria wzniesionego. Zdaje mu się, że ta maszyna, te nożyce, odbijające na swej stali ostatnie blaski dnia, są owym nożom ofiarnym, którym on cios śmiertelny dziecku swemu zadał. Stos ten przepala się w głębi własnego jego serca, ten nóż zatapia się gdzieś w samo dno jego duszy. Lecz porównywając siebie z owym patryarchą z lat dawnych, spostrzega, że prócz ofiary nic między nimi wspólnego niema. Z wyobraźni lat dziecinnych odtwarza mu się w pamięci wyniosła postać owego biblijnego starca. Widzi go w szatach białych, z twarzą ku niebu podjętą, z nożem ofiarniczym w ręku. Majestat wielki, moc i groza biją od tej białej postaci, a twarz jego pełna jest spokoju, wszelką walkę z samym sobą ukończył i z sercem wzniesionem ku niebiosom bóstwu ze swych ukochań ofiarę składa. Lecz w sobie Chaim nie czuje zgoła owego spokoju. On tej ofiary nie dał dobrowolnie, wzięto mu ją — i żal, okrutny, głęboki go dojmuje. Więc myśli znowu, że miłosierny Jehowa nie brałby od biednego, prostego człowieka tak wielkiej ofiary, tak niechętnem sercem czynionej; wszak on nawet nad owym patryarchą miłosierdzie swoje okazał i w ostatniej chwili zesłał anioła, aby rękę ofiarnika powstrzymał. A nad wezgłowiem jego syna żaden anioł ochronnych skrzydeł nie rozpostarł; tu ofiara będzie spełniona. Zdaje mu się, że z posiniałych ust dziecka wypływa szept cichy, skarżący i pytający: po co ta ofiara?

I objął go przestrach wielki; dla kogo i w imię czego budował lat tyle ów stos synowski? Aby owe siedmioro żyło krwią ósmego?

Myśl starego żyda, tak rzadko nad poziomy lecąca, teraz w zaczarowanem kole wątpień, jak ptak uwięziony skrzydłami o ściany biła, a w głębi jej, z samego dna duszy podnosiło się i szemrało echo pytania: po co ta ofiara? I zdaje mu się, że skądś, z mroków dalekich wzbiera i płynie ku niemu jakieś morze ciemne, głębokie, jękami szumiące, pieniące się łzami. A rozpościera się ponad niem i króluje ta moc tajemnicza, straszna, nienasycona.

Podniósł Chaim ciężką swą głowę i oczy w obliczu syna utopił. Ale twarz ta była już biała i chłodna, wielki jej, kamienny spokój na pytania życia odpowiedzi dać nie mógł.

W. Dal.

dobra wolne od pożyczki Towarzystwa, ale obarczone długami innych kategoryj. Cyfry te są bardziej wymowne przy rozpatrywaniu każdej kategoryi oddzielnie. Widzimy np., iż 41% posiadłości drobnych jest wolnych od długów, wśród własności średniej i dużej tylko jedna na pięćdziesiąt, a wśród największych jedna na dwadzieścia wolna od długów. Natomiast 48% posiadłości dużych (od 1,500—3,009 morg.), 41% średnich i 39% magnackich dźwiga brzemiona, przeszło dwa razy przewyższające pożyczkę Towarzystwa. W podziale morgowym obciążenie rozkłada się inaczej. Na morgę bowiem drobnej posiadłości przypada 62 n. długu prostego i 10 rs. kaucyi. Rezultat taki pochodzi stąd, że do tej kategoryi należą osady fabryczne, młyny itp., których szacunek nie jest wcale proporcyonalny do obszaru i które w sposób inny uzyskują kredyt, niż posiadłość większa. W dobrach średnich dług na morgę wynosi 44 rs. i 5 rs. kaucyi, w wielkich dług 21 rs. a kaucye 2 rs. W dalszym ciągu swej pracy autor zamierza uzupełnić obraz obdłużenia kraju, o ile ten cyfrowo przedstawić się daje.

W tym samym zeszycie *Biblioteki* p. A. Brückner wskazując w dalszym ciągu: „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej," opowiada o „bezimiennym poecie z czasów Zygmunta Augusta." Autor przypuszcza, że owym nieznanym poetą, który na kilkudziesięciu kartach rękopisu, przechowywanego w jednym ze zbiorów krajowych, pozostawił swoją spuściznę, jest Stanisław Porębski, do którego Kochanowski wystosował jedną ze swych fraszek, porównywając w niej „skotopaski" (bukoliki, sielanki) owego poety z teokrytowemi, a styl jego zowiąc złotym. Utwory Porębskiego nieprzedrukowane zaginęły, p. B. sądzi, iż je odnalazł we wzmiankowanym rękopisie. Zawiera on zbiór fraszek, nieco odmiennych zarówno rozmiarami, jak doborem tematów od Rejowskich figlików lub fraszek Kochanowskiego, trafiają się bowiem między niemi całe obrazki, sielanki, nie ograniczone wyłącznie do życia pasterskiego, odnośnie zaś do treści uderza brak tematów zapożyczonych, jak to bywa u Reja lub Kochanowskiego, od obcych bajkopisów i nowelistów. Przeciwnie, bezimiennego poetę zaleca wielce swojskość wątków, zaczerpniętych wyłącznie z własnych spostrzeżeń lub czyjejś bezpośredniej opowieści. Przytoczywszy wiele prób i wypisów, p. B. streszcza sąd swój o autorze. Forma wiersza niezbyt go zaleca i rymy słabe, natomiast język przejrzysty i płynny, choć nieco mdły. Miłą niespodzianką nazywa p. B. brak mitologii i klasycznych reminiscencyj, widząc w tem wpływ Reja, a może protestantyzmu — tego bowiem wyznania był poeta — niedowierzającego starożytności klasycznej. Talent epicki jest widoczny, opisy bardzo plastyczne narzucają się wyobraźni i wywołują wrażenie silne; jest to obserwator bystry, łatwo chwytający drobnostki i śmieszności, charakteryzujące ludzi i spostrzeżenia swe zaprawiający dobrodusznym humorem.

W zeszycie majowym *Ateneum* znajdujemy artykuł P. Chmielowskiego p. t. „Nowe szczegóły o Mickiewiczu." Syn poety w wydanym „Żywocie" swego ojca (Poznań, 1890, t. I-y), podał wiązankę dokumentów, rzucających światło na uczucia przez Mickiewicza wzbudzane i podzielane; te nieznane a ciekawe szczegóły podsuwa uwadze naszej p. Ch. Zanim w duszy poety zrodziło się pierwsze uczucie głębokie dla kobiety — była niem miłość dla Maryli Wereszczakówny — już serce jego raz żywiej zabiło dla pewnej Józi. Nie była to miłość namiętna. „Lubiłem siedzieć przy niej, tyle z niej wionęło świeżości i życia" — opowiadał Mickiewicz Chodźce. Owa Józia wyszła za mąż za Felicyana Mickiewicza. Po latach kilku zobaczył ją Mickiewicz „brudno ubraną... a zżółkła, wychudła, zbrzydła." Zachwycał się nią jeszcze jako uczeń szkół nowogródzkich, rozczarował się już jako student uniwersytetu. W większej części nieznane listy Maryli ciekawy stanowią przyczynek do obrazu wielkiej miłości poety, ilustrują one fazę, w jaką uczucie to weszło po zamążpójściu bohaterki. Dwa z nich są wprost do niego zwrócone, inne pisane pod adresem Tomasza Zana, stwierdzają one również przyjazny stosunek, w jakim Maryla zostawała z gronem przyjaciół Mickiewicza. Zupełnie nieznane dotychczas listy Karoliny Jaenisch, córki profesora niemca, zamieszkałego w Moskwie, malują silną, egzaltowaną miłość, jaką obudził w niej poeta. Miłość ta nie była, jak się zdaje, wywzajemniona równie głębokiem uczuciem. Mickiewicz miał dla panny Jaenisch wiele sympatyi, nie sądzi jednak autor artykułu, aby to silna namiętność popchnęła poetę do oświadczenia się w r. 1829 o rękę Karoliny. Do dziejów miłości dodaje p. Ch. wzmiankę o wierszu, przypisanym Mickiewiczowi. Ma to być ciąg dalszy ballady „Basza" albo „Renegat," nieuznany przez niego za godny druku. Wiersz ten obecnie ukazał się w jednym z konserwatywnych organów krakowskich, zamieszczony przez Wiktora Baworowskiego, który otrzymał rękopis od p. Tysiewicza, przyjaciela poety. P. B. sądzi, iż jest to pierwotny pomysł drugiej części ballady, nasz krytyk zaś, przytoczywszy w swym artykule wiersz ów w całości, przypuszczenie to nader zasadnie zbija, stawiając na to miejsce inne, mianowicie, iż wiersz ów jest fabrykatem dokonanym swego czasu w gronie wielbicieli poety.

W tymże zeszycie *Ateneum* zasługuje na uwagę artykuł dr. St. Markiewicza p. t. „Znaczenie kąpieli ludowej, ocenione ze stanowiska hygieny publicznej." Jest to rozwinięcie i uzasadnienie pożytecznej myśli, która z tych samych ust rzucona, od dawna po pismach naszych się błąka. Obowiązek zapewnienia ubogiej ludności kąpieli tanich powinien, zdaniem autora, spaść bądź na gminę, bądź na władzę rządową, bądź wreszcie na zwierzchności instytutowe, zarządy zakładów, pracodawców, a w razie ostatecznym potrzebę tę zaspokoić powinny stowarzyszenia obywatelskie, złożone z ludzi dobrej woli, nieszukających w urządzeniu tanich kąpieli zysku osobistego. Za najtańszy i najkorzystniejszy rodzaj uważa dr. M. kąpiel ciepłą natryskową.

F. B.

ŚRÓD MUZ.

VII.

Obraz G. Simoniego: *Aleksander Wielki w Persepolis.*

Gdyby na sto bachanalij malowanych przypadło bodaj jedno natchnienie, sztuka miałaby zasadę uganiać się za niemi tak wytrwale. Niestety jednak, ile to złotych czar, ile wina, pięknych hurysek, południowych owoców, ile myrrhy marnuje dziatwa Apellesa dla pustego złudzenia, że jej orgie płócienne porwą swym robionym szałem widza?

Do wielkich uczt pogańskich, co objeżdżają Europę w skrzyniach, a potem opięte festonami wabią do siebie całe armie oficerów, cmoktających językami, przybyła świeżo jeszcze jedna, malarza włoskiego Simoniego. Tym razem motywu dostarczyła Macedonia, bo i dlaczegóżby ona miała być gorszą od Persyi, Babilonu, Chaldei, Rzymu, Grecyi itd. Czemże Aleksander Wielki gorszy od Sardanapala, Nabuchodonozora, Heliogabala, Nerona i tylu innych specyalnych dostawców nagiej erotyki i kapiącego od złota sztafażu?

Obraz przedstawia chwilę najwyższego tryumfu zdobywcy. Aleksander „oblewa" go w wesołem gronie ochoczych do zabawy towarzyszów i kobiet. Gdy już pod wpływem jadła i napojów biesiadnicy ociężale odwrócili się od stołu, na którym majaczeją jak we mgle stosy przysmaków i smukłe dzbany, i w malowniczych pozach rozłożeni i rozsadowieni baraszkują się z dziewczętami, przystępuje do bohatera piękna Thais. Trudno udawać, że nie wiemy, czego ona chce i co mówi, bo najpierw dzieje zachowały o tem pamięć, a powtóre fama stugębna, przyleciawszy gońcem, otrąbiła z powodu dzieła Simoniego, że urocza hetera wzywa króla, ażeby podpalił stolicę zwyciężonych, Persepolis, i pokazał im, jak smakuje rzeź, pożoga i zniszczenie, które do niedawna oni sami w Helladzie szerzyli. On zda się słuchać i rozważać słowa, podczas gdy grono ucztujących nie sobie nie przeszkadza w swych o wiele ważniejszych zajęciach.

Gdyby komu w klasie kompozycyi zadano podobny temat, zmiarkowałby odrazu, że ma przed sobą coś, co się nazywa momentem psychologicznym, stanowiącym o wartości całego utworu. Musiałby tedy zrozumieć, że chodzi o zestrojenie w akord dwu różnych wyrazów twarzy, z których jedna kusi do, mniej lub więcej, ale zawsze djabelskiego czynu, a druga waży złowrogie hasło na szalach potężnego swego ducha. Boć człowiek to niepowszedni, a czy jest geniuszem burzy i mordu, czy marzycielem, pragnącym zlać światło cywilizacyi na wszystkie ludy ziemi, moc ta błogosławiona lub wyklęta, musi być wypiętnowaną na rysach jego, bo tego wymaga pospolita konieczność antropologiczna. Taki moment namysłu pół-boga, posępnie wróżący wściekłą orgię pożaru po miękkiej, pieszczotliwej orgii zmysłów i miłości, musiałby chyba zawierać szeroką i przenikającą nawskroś poezyę i on to niewątpliwie był celem Simoniego.

Ale że widz jest w stanie domyśleć się serdecznej intencyi malarza, to chyba jeszcze żadna ze strony tego ostatniego zasługa. Potrzeba, żebyśmy podobną osnowę nerwami odczuli, zaś w wypadku obecnym my ją zgadujemy rozumem. Boć Thais, mimo że sama przez się stanowi pyszny typ greckiej brunetki, o bujnych kształtach i śniadej cerze, nic mówi właściwie nic. Podchodzi w sposób dosyć nienaturalny do Aleksandra, z boku, jak gdyby posłuszna przepisom sceny, broniącym aktorowi stawać tyłem do sali, i trzyma w prawem ręku płonącą pochodnię. A jak trzyma — to istny cud! Tuż przy delikatnej gazowej tkaninie, którą otulone są jej biodra i nogi i która zwiesza się prawdziwym, jakby powiedział Guy de Maupassant (patrz *Nasze serce*), śniegiem, puchem i koronkami — a pomimo to nie zajmie się od ognia. Gdybyż choć ręka wzniesiona była cokolwiek przez najprostszą ostrożność — nic a nic! Patrzymy więc na ten płomyk odrazu jak na zabawkę, jak na bengalski ognik. No, a wielki wojownik co mówi i myśli? Pierwszem wrażeniem jest, że nic nie myśli, drugiem, że ma minę starego młokosa, przyłapanego na gorącym uczynku. Wpatruje on się w Thaidę wzrokiem głupim żaka, który coś przeskrobał i zahypnotyzowany nie może spuścić oczu z gniewnej twarzy karcącego nauczyciela — a gdyby nie obawa przesady, powiedzielibyśmy nawet, że wzrokiem psa, który czeka skinienia swego pana. Trzeciem wreszcie wrażeniem jest, że ta tępa fizyognomia należy prędzej do którego ze sług królewskich, lecz nie do sławnego bohatera! Podobno Simoni posługiwał się wizerunkiem, przechowanym na jednym z fresków pompejańskich — być może, ale choćby nawet owemu wzorowi autentycznemu nie działa się tu żadna ujma, choćby był w szczegółach skopiowany wiernie, to jednak, gdy przyszło tchnąć w starą maskę uczucie nowe, namiętne i gwałtowne i ożywić ją iskrą złowieszczą i wyroczną, talent wypłatał artyście sromotnego figla.

Wiadomo nie od dziś, że malarze drwią sobie z logiki kompozycyi w obrazach, które obfitują w trudności rysunkowe i kolorystyczne. Profan jednak nie ma ani obowiązku, ani prawa machać lekceważąco ręką na stronę psychologiczną, bo ta jest i będzie zawsze najszczytniejszem zadaniem sztuki i jej celem głównym. Otóż z takiego punktu widzenia sądzone dzieło artysty włoskiego jest, krótko mówiąc, nieudolne. Musi to być umysł płytki i mało wykształcony, bo okrutnie płytko pojęte są pierwszoplanowe postacie i wskutek tego efekt najzupełniej chybiony.

Jak Thais z prawej strony, tak z lewej podchodzi do Aleksandra nagie pacholę z żagwią zapaloną w każdem ręku. To drugi fałsz, tworzący *pendant* do tamtego, chłopak bowiem nie tyle stoi, ile pozuje, uwypukliwszy z nadmierną trochę gracyą pierś i brzuch; a przytem pochodnie siedzą mu w dłoniach tak *leggieramente* i takim dobrze wychowanym, niekopcącym ani dymiącym ogniem płoną, że widzowi zdaje się raczej, iż ma przed sobą dwie papierowe tutki z narcyzami lub tulipanami.

Daleko więcej prawdy i szczerości posiadają pary, słodko elektryzujące się nagiemi ciałami po obu stronach Aleksandra, na długiem, miękko wyściełanem łożu. Jedna z dziewcząt, tuląc się plecami do piersi swawolnika, uśmiech ma dosyć przekonywający i z całą poufałością rozkosznisi kładzie rękę na jego udzie; inna, odurzona winem, zesunęła się z ławy i przysiadła bezwładnie na stopniu, główkę zwiesiła sennie, a z czary napój wylała; nagi towarzysz, ująwszy pod ramię, usiłuje podnieść ją. Ta grupa ujdzie jeszcze. Niezłe są też dwie postacie z prawej strony widza — bachanci z wieńcami bluszczu na głowach i skórami zwierząt dokoła bioder. Jeden, zgięty wpół wysiłkiem i zawziętością, dmie w coś niewyraźnego, prawdopodobnie we fletnię; drugi roziskrzonem okiem żołdaka na poły pijanego, ogląda się po za siebie, jak gdyby sobie i innym dodawał animuszu; jest on niezły jako motyw, ale strasznie w wykonaniu blady, bez wyrazistego typu. Prym zaś między wszystkimi trzyma niewolnik, zajmujący pierwszy plan i odwrócony tyłem do widza. Może właśnie dlatego przewyższa innych prawdą, że twarzy jego nie widać, nie miał więc artysta pola do nowej fuszerki. Plecy zlekka zaokrąglone, bez żadnego wcięcia w pasie i gibkości, dobrze charakteryzują postawę niedbałą i wolną od kłamanych wdzięków Apollinowych.

Wszystkie te figury rozmieszczone są o tyle szczęśliwie, że nie tłoczą się, nie duszą i zostawiają sporo wolnej przestrzeni. spokojnie i swobodnie ogarnąć można teren przedni, który na wstępie samym bardzo mile uderza i złudzenie obu wymiarów jego, tj. szerokości i długości, daje w wysokim dosyć stopniu. Jest to więcej jeszcze zasługą bardzo znacznej naprawdę plastyki i starannego wymodelowania ciał. Światło mające swe źródło oczywiście u stropu pałacu, doskonale uwydatnia górne części figur, i z wielką prawdą słabnie w kierunku dolnym. Traktowanie nagości stanowi najcelniejszy i poważny czynnik artyzmu Simoni'ego.

Ale to nie znaczy, by malarz ten był w ogóle ze światłem w porządku. Bynajmniej, to twórca bardzo zawiłych zagadek optycznych, które tylko przez rycerskość— nie nazywamy bezsensami. Otóż gmach, służący za widownię uczty, jest to olbrzymi rondel, w rodzaju rzymskiego Colosseum, jeno bez okien w murach bocznych. Ludu w nim mnóstwo; za stołem i u wrót, tworzących plan ostatni, faluje ciżba, a na jej tle tu i owdzie kadzielnica z myrrhą lub zagadkowa grupa czarnych postaci, wyniesiona nad tłum o cały wzrost człowieka. Mimo że nazewnątrz widnieje dzień, wycięty w czworobok liniami bramy, cała ta zbita masa ludzi tonie w mroku, który nagle, raptownie zaczyna się zaraz za plecami Aleksandra i jego druhów. Tym sposobem stół stanowi jakoby linię graniczną: przed nim ludzie i przedmioty bodaj najdrobniejsze kąpią się w blaskach, a na nim i za nim ciemność egipska. Tego rodzaju światłocień zdarza się nam spotykać po raz pierwszy, jeśli nie liczyć specyalnych w tym względzie efektów Rembrandta, Hollen-Brueghela i tym podobnych, tylko że u nich stopniowanie szybkie, nigdy nie staje się przeskokiem. Dziwne doprawdy, musiało być to okno w górze rezydencyi perskiej — również fenomenalne jak owe tiule Thaidy, nieczułe na wijące się tuż przy nich języki ognia i jak owa czarniawa ludzi — kretów.

Pobudką niby-artystyczną tej licencyi była pewnie chęćześrodkowania uwagi widza na momencie tytułowym: nie można jej inaczej nazwać, jak naciąganiem, efekciarstwem, w dodatku chybionem, bo właśnie największy wróg wszelkich mydlkowań i mgieł — ciekawość, gwałtem przeniknąć je chce i czuje, że obraz w trzech czwartych częściach nie tłomaczy się.

Nie mniej zagadek nastręcza strona rysunkowa. Tak np. bachanta, który do piersi tuli dziewczynę, bierzemy za siedzącego okrakiem, albowiem linia jego pleców jest prostopadłą do linii ławy, a tymczasem okazuje się po chwili, że obie jego nogi są po jednej stronie. Istna niespodzianka! jedna bowiem musi być koniecznie dłuższą od drugiej, a nadto kurcz musi go chwytać pod lewem biodrem. Gdzieindziej cud jeszcze większy; owa dziewczyna pijana, o której wzmianka wyżej, ma lewą nogę bezecnie złamaną albo w razie najlepszym wykręconą w kabłąk przez angielską chorobę — to jeden z najfatalniejszych *lapsusów* obrazu. Godnie wtóruje mu drugi, kolorystyczny: gdy ton jej ciała jest różowy, stopa z pod szaty białej wysunięta—bieluśka jak ta właśnie szata; zyskała na tem, ale wygląda jak pożyczona, bo choć stopa bywa zazwyczaj jaśniejsza od reszty ciała, ale tu sam rodzaj koloru jest odmienny, zamiast być tym samym lecz bledszym.

Nie snujemy tego wykazu błędów dalej, bo by mógł czytelnika znużyć. Zresztą wadliwość szczegółów ma to do siebie, że jak pod osłoną dobrze wykonanego tematu głównego maleje i nawet znika, tak znów w braku jędrnej treści niby w pustce pęcznieje i rozrasta się. „Aleksander Wielki w Persepolis" cierpi właśnie na taką jałowość artystyczną, z którą walczy o lepsze pretensyonalność. Obraz ten przypomina owych wielkich, rozrosłych mężczyzn, którym przy rumianych policzkach i obfitem ciele brak życia, ducha, temperamentu. Nie znamionuje też on malarza, śledzącego bacznie postęp *idei* w sztuce, choć niewątpliwie technikę posiada znaczną. Simoni dopiero w połowie wyzuł się z dawnej i nieostygłej jeszcze w malarstwie manii spiętrzania pysznych materyj, naczyń i sprzętów, i dla nich też pewnie, oraz dla nagich ciał sięgnął do pogańsko-wschodniej skarbnicy motywów, która wszystkim amatorom taniego oklasku gościnnie, bez wyboru i bez końca, wnętrze swe otwiera. Powiadamy w połowie, gdyż pewną zaletę możnaby widzieć w tem, że w jego bachanalii zamiast brawury, rodzącej zwykle dysonanse i fałsze, dominuje leniwie omdlała pieszczota.

Nowego to dzieło nie przynosi nic, jeno odmłodzoną nieco pod względem układu starzyznę, która na dobitkę nie ma rdzenia duchowego, w imię którego powstała. Jest to ładny na pierwszy rzut oka, ale pusty orzech. *Cezary Jelenta.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„UNIVERSITY EXTENSION MOVEMENT."

Od lat kilku można spostrzedz w najrozmaitszych krajach liczne próby udostępnienia wyższej oświaty szerszym kołom ludności. „Nowy świat" przoduje, zarówno pod względem rozmiarów ruchu, jako też pomysłów; przytem Australii należy się bezwarunkowo najpierwsze miejsce, pod względem otrzymanych rezultatów. Po niej idzie Związek północno-amerykański, w którym spotykamy się z tego rodzaju urządzeniami, jak Literacko-naukowe koło Chautauqua," skupiające olbrzymie mnóstwo samouków różnego rodzaju lub filadelfijskie Towarzystwo upowszechniania oświaty uniwersyteckiej. Nadto wypada wspomnieć o instytucyach, podejmujących zadanie kierowania samokształceniem w różnych dziedzinach specyalnych, np. o towarzystwie Agassiza, (nauki przyrodnicze); new-yorskiem, popierającem samouków, pracujących nad ekonomią polityczną i w ogóle umiejętnościami społecznemi. Na lądzie Europy moglibyśmy wskazać przedewszystkiem dwie tegoroczne próby, berlińską i paryską. Berlin jest dzisiaj widownią silnego ruchu kulturalno-społecznego, powołującego do życia wolne teatry ludowe, gminy bezwyznaniowców, literaturę dla dzieci. Duszą tego ruchu jest znany czytelnikom *Prawdy* z nazwiska dr. Wille. Między innemi na początku obecnego roku powzięto myśl założenia wolnej akademii ludowej z wpisem półrocznym, wynoszącym na nasze pieniądze około 30 kop. Będą tutaj wykładane nauki historyczne, społeczne i przyrodnicze. Zapisało się do 4,000 robotników! Zresztą o tych zabiegach mamy nadzieję pomówić wkrótce szczegółowiej. W Paryżu z podobnym projektem wystąpiła miejscowa rada municypalna. Jednak w Anglii dążność udostępnienia wyższej oświaty uwydatniła się najmocniej, stwarzając szeroki prąd w społeczeństwie, znany pod specyalną nazwą: „University extension movement." Sprawozdanie uniwersytetu oxfordzkiego dobitnie wypowiada jego zamiary: „Ponieważ lud nie może wejść do uniwersytetu, zadaniem naszem jest ponieść oświatę uniwersytecką do ludu." Pierwszy paragraf ustawy londyńskiego Joint board brzmi: „Celem towarzystwa jest umożliwienie oświaty uniwersyteckiej mieszkańcom Londynu i okolic — bez względu na wiek i płeć." Ogniskami ruchu angielskiego są uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge, oraz w Londynie, główną dzisiaj kolebką — rady municypalne, chociaż nie wszędzie. Początek dała rada municypalna w Nottinghamie; zarząd tego miasta zwrócił się do uniwersytetu w Cambridge z prośbą, aby wypracowano plan ogólnego ukształcenia wyższego dla szerszych kół ludności i dostarczono mu wykładających. Jednocześnie nadeszły petycye podobnego rodzaju z kilku innych jeszcze miejscowości (Sheffieldu, Leedsu, Halifaxu i in.). Uniwersytet w 1872 wyznaczył ze swego łona komisyę dla rozpatrzenia tych projektów. Postanowiła ona, tytułem próby, urządzać wykłady przez dwa lata w kilku miastach. Próba się powiodła, i komisya, która przyjęła specyalną nazwę syndykatu, opracowała drobiazgową ustawę. Rozpoczęły się systematyczne wykłady, na które uniwersytet ze swego ramienia wysłał docentów. Wreszcie w 1886 uczyniono jeszcze krok dalej. Uniwersytet w Cambridge „usynowił" (tj. uznał za własne) te wykłady, które czyniły zadość pewnym warunkom, a przedewszystkiem temu, żeby kursy w mieście posiadały stały i zapewniony byt materyalny. Ośrodkiem podobnych wykładów stał się również uniwersytet w Oxfordzie, lecz już w lat kilka po rozpoczęciu próby przez jego wielowiekowego współzawodnika. Wreszcie najpóźniej ruch ten wtargnął do Londynu.

Warto zatrzymać się nad rozmiarami w ten sposób udostępnionej oświaty uniwersyteckiej. W roku szkolnym 1880-1881 Cambridge prowadził 37 wykładów z liczbą około czterech tysięcy słuchaczów; w 1886-1887 zaś wciągnięto już blizko pół setki miejscowości i posiadano przeszło dziesięć

tysięcy słuchaczów. Rozwój prądu, wychodzącego z Oxfordu, jest niemniej pomyślny. W roku szkolnym 1885-1886 wykłady odbywały się w 22 miastach, a przedstawiały 27 kursów; w 1888-1889 — 82 miast i 109 kursów, liczba zaś słuchaczów przewyższała cyfrę czternastu tysięcy. Wreszcie w Londynie zimą 1888 uczęszczało na wykłady blizko sześć tysięcy osób. Pospołu będziemy mieli obecnie wykłady wyższej oświaty w 150 niemal miastach z ogólną roczną liczbą słuchaczów, przewyższającą trzydzieści tysięcy! Lecz to jeszcze nie wyczerpuje wpływów owego prądu; nietylko bowiem założono ustne wykłady, lecz przystąpiono do wydania wskazówek dla samouków i kierowania ich pracą. W tym względzie Anglia miała wzory wypracowane w Ameryce, gdzie system samokształcenia wszedł w krew i ciało ludności — przy pomocy odpowiednich instytucyj. Zwłaszcza Oxford zrobił bardzo wiele w tym kierunku. Naprzód wydano cały szereg odpowiednich podręczników, znanych pod specyalną nazwą „Sylabusów." Jedne są krótkim wykładem samego przedmiotu, drugie—wskazaniem źródeł do prowadzenia studyów. Powstające domowe kółko samokształcenia się — „Home reading Circle" — zwraca się do „Komitetu delegatów" (komisyi przy uniwersytecie w Oxfordzie, kierującej wykładami), wyjaśnia swoje żądania, tj. przedmiot, któremu chciałoby się poświęcić, podaje liczbę członków i za każdego wnosi z góry 10 szylingów (około $4\frac{1}{2}$ rs.). Komitet wtedy wysyła adresy specyalistów, z pośród których członkowie wybierają sobie kierowników. Nadto każdy członek otrzymuje bilet z 6 markami, które łatwo można oderwać. Wreszcie kółko otrzymuje program zajęć (książki, które przedewszystkiem należy przeczytać, kwestye, które wypada poznać itd.). Każdy członek posiada prawo zwrócenia się sześciokrotnie do wybranego kierownika-specyalisty z różnemi pytaniami, nawet może wysyłać mu do rozpatrzenia swoje rozprawy (zresztą określonej długości), dołączając za każdym razem markę z biletu, gdyż zapytania niemarkowane pozostają bez odpowiedzi. Działalność na tem polu drugiego uniwersytetu angielskiego, w Cambridge, w porównaniu z Oxfordem pozostawia bardzo wiele do życzenia. A jakkolwiek w 1889 postanowiono również i „studya domowe" — Home Stuady — wziąć pod swoją opiekę, jednak różne wątpliwości i ograniczenia tamują jeszcze drogę rozwojowi tego użytecznego sposobu pomocy naukowej.

Przejdźmy do urządzenia samych wykładów.

Każdy kurs w wykładach, znajdujących się pod kierownictwem uniwersytetu oxfordzkiego, składa się jedynie z 6 odczytów, które winny możliwie wyczerpać przedmiot. Jest to rzecz zupełnie praktyczna przy rozbiciu np. fizyki na kilkanaście działów. Po każdym odczycie następuje rodzaj repetycyi, na której są udzielane drobiazgowe wyjaśnienia, usuwane — różne wątpliwości itd. Uniwersytet pobiera za taki kurs $24^3/_5$ funty sterl. (przeszło 200 rs.), a nadto koszta podróży wykładającego. Słuchacze, odpowiednio do liczby swojej, opłacają mniejszą lub większą kwotę dla pokrycia tej sumy, a nadto koło miejscowe jest obowiązane dostarczyć mieszkania prelegentowi. Ten wozi z sobą ruchomą biblioteczkę, złożoną z książek swojej specyalności, które wydaje słuchaczom do studyów. W miejscowościach, gdzie uniwersytet Cambridge kieruje wykładami, liczba odczytów, składających kurs, równa się co najmniej 10, lecz zwykle nie przewyższa 12. Oxford wprowadził mniejszą liczbę dla ułatwienia oświaty; wynagradza to, wpływając na rozwój kółek samouctwa. Wreszcie wprowadzono jeszcze inne udogodnienia. Dla przykładu zatrzymamy się nad Cambridgem. Słuchacz, który spełnił wszystkie wymagania ustawy, ma prawo zdawać egzamin i wstąpić do uniwersytetu; jeśli zaś zdał, po przebyciu dwóch lat w uniwersytecie, może ubiegać się o zyskanie stopnia naukowego. Egzamin ów obejmuje 6 głównych przedmiotów i 2 drugorzędne. W roku wykładowym 1880—81 z pośród słuchaczów 14%, w 1886—87 zaś 13% starało się o takie świadectwa z odbytych kursów. Zresztą zwyczaje pod tym względem są bardzo różne w każdym okręgu uniwersyteckim — odpowiednio do tych warunków zamożności, wśród których znajdują się słuchacze. Ale wszędzie uczniowi umożliwiono wykazanie swojej wiedzy, teraz zaś powstają liczne stypendya, dostarczające mu środków przejścia do uniwersytetu i poświęcenia się nauce, jeśli dowiódł uzdolnień a nie ma funduszów własnych. Sama publiczność, uczęszczająca na te wykłady, jest nader różnobarwna. Zjawiają się tutaj osoby najrozmaitszego wieku i płci oraz zamożności. Przedewszystkiem rzuca się w oczy olbrzymia ilość kobiet; dość powiedzieć, że w uniwersyteckim okręgu oxfordzkim stanowiły one przeszło 60% słuchaczów. Jest to dowodem, jakie znaczenie ma ten ruch dla podniesienia poziomu umysłowego kobiety. W dalszym ciągu widzimy osoby średniej zamożności, które chcą uzupełnić swoją wiedzę lub wprost znaleźć jakąś rozrywkę. Zwłaszcza olbrzymi procent wypada na te grupy warstwy średniej, które całą młodość spędziły w swoim zawodzie i nie otrzymały żadnego teoretycznego wykształcenia. Wreszcie należy wspomnieć o robotnikach. W okręgu uniwersyteckim oxfordzkim stanowili oni w roku wykładowym 1888—89 około 20% słuchaczów. Podobnie są reprezentowani w okręgu londyńskim, gdzie z tego powodu opłatę za kurs zniżono do jednego szylinga. Natomiast są bardzo nieliczni w okręgu cambridzkim. Ale nie należy mniemać, aby przejęcie się wykładami było zbyt silne u robotników — warunki bytu często im to uniemożliwiają, a jeśli gdzieś występują liczniej ludzie tego rodzaju, pochodzą oni zwykle z pośród tak zwanej arystokracyi pracy. Blizko połowa robotników, uczęszczających na wykłady, które uniwersytet oxfordzki prowadzi, są to górnicy Northumberlandu. Utworzyli oni przy trades-unionie klub oświaty uniwersyteckiej, do którego obowiązkowo składają niewielki lecz stały podatek, aby módz sprowadzać prelegenta. W liczbie przedmiotów głównych, prócz mechaniki i geologii, zawsze znajduje się ekonomia polityczna. Odrazu otworzono wykłady w 13 miejscowych brabstwach. Roberts, który w broszurze swojej opowiada o tym ruchu u górników, ocenia, że około 5% wszystkich pracujących w kopalniach uczęszcza na wykłady. Ponieważ niektóre miejscowości leżały zbyt daleko, wydelegowano jednego ze zdolniejszych towarzyszów, który systematycznie powtarzał treść każdego odczytu po powrocie. Niekiedy wypadało nocą odbywać, bez względu na pogodę, po kilka mil (ang.). Wspomniany autor podaje jeszcze ciekawe fakty z fabryki wyrobów bawełnianych. Pracowała ona, po za wykładami, podczas chwilowych pauz, kiedy zakładano nitkę i w ciągu pory obiadowej, wreszcie przystąpiła do egzaminów, aby, zdawszy je dobrze, mogła dostać stypendyum i znaleźć się wśród słuchaczów uniwersytetu w Oxfordzie! O górnikach Northumberlandu prelegenci mówią, że odznaczają się bez porównania większą pilnością i wykazują głębszą znajomość przedmiotu, niż zwykły student.

Jeżeli przyjrzymy się powyższym danym statystycznym, spostrzeżemy, że warstwy robotnicze stanowią zaledwie piątą część wszystkich słuchaczów. Bezwzględna zaś ich liczba, wynosząca około sześciu do ośmiu tysięcy, stanowi już najzupełniej drobną cząstkę w świecie najmickim Anglii. A zatem mówić tutaj o jakiejś „demokratyzacyi" wykształcenia uniwersyteckiego nie wolno. Jednak drobnomieszczaństwo ludowe ileż to już nie wyśpiewało hymnów pochwalnych na cześć tego, że uniwersytet stał się w Anglii instytucyą „ludową"! Zresztą i w samej ojczyźnie Johna Bulla głośno się mówi w ten sposób.

W związku z tem wypada poruszyć nam pewną sprawę. Są ustronia, gdzie potok życia społeczno - politycznego przedstawia cuchnące bagno. Cała jawna walka przekonań sprowadzona jest tutaj do pokazywania nielubianym osobom języka, dowcipkowania na ich rachunek lub posuwania się jeszcze dalej—wszystko na cierpliwym papierze. Otóż w tej cuchnącej atmosferze bałasowania językiem, zastąpienia wykładu swoich, a zbijania cudzych przekonań paszkwilowaniem, powstała teorya: „byłoby coś zrobiono." Niektórzy chcą zdobyć się na „bezstronność" i stanąć nad stronnictwami. Zapominają, że społeczeństwa tegoczesne są urządzeniami klasowemi, a jednocześnie wykazują zupełny brak zmysłu politycznego, właściwego krajom rozwiniętym. Dla społecznego demokraty np. zasada, „kto dał to dał — byleby dał" jest wprost zabójstwem, jego też męzka logika odsuwa ten obłęd niedojrzałego politycznie społeczeństwa. Bismark i on np. występują jako dwaj przeciwnicy; przypuszczając w pierwszym nawet jak najlepsze chęci humanitarne (przebacz nam, historyo, to przypuszczenie!), niepodobna jednak mniemać, że ujdzie on choć dziesiątą część drogi, po której kroczy drugi. Uczyniwszy zadość „sprawiedliwości społecznej" w swojem przedstawieniu, Bismark zużytkuje zyskany wpływ, żeby powstrzymać rozrost przekonań swojego przeciwnika i przebycie pozostałych $^9/_{10}$ drogi. Partya też odpowiednia musi zapobiedz temu — przez zdjęcie wszelkiego uroku z zamiarów swojego współzawodnika. Przyznać dziwoląg: „aby dano!" „aby zrobiono!" jest w Niemczech i Anglii po prostu sprzedaniem prawa pierworodnego za miskę soczewicy. Otóż winniśmy z tego stanowiska ocenić rozpatrywany ruch angielski — tak go oceniają w jego ojczyźnie. Już kilkakrotnie wypadałoby nam mówić w *Prawdzie* o rozwijającej się ostatnimi czasy w Anglii „filantropii społecznej." Mianowicie wobec wzrastającej świadomości klasowej u przedstawicieli pracy—ukazuje się z przeciwnej strony ideał „jednego pienia o dwóch chórach." Otóż „University extension" movement" został odpowiednio użyty. Zjawiają się filantropi, którzy, aby dowieść namacalnie, że niema w angielskim świecie społecznym antagonizmów, nietylko budują „pałace pracy," lecz sypią pieniędzmi, zgarnionemi z nieopłaconej daremnej pracy, na wzniesienie audytoryów i umożliwienie oświaty. Ktoś w Nottinghamie ofiarował 10, w Sheffieldzie 20 tysięcy funtów sterl.! Nie wchodzimy w wartość wewnętrzną tych filantropów. Są to może ludzie bezwarunkowo zasługujący na uścisk dłoni. Bierzemy jedynie przedmiotowe, społeczne skutki ich klasowej filantropii.

Z tego stanowiska i wobec celu wytkniętego—przełamania antagonizmów — jest to pocałunek Judaszów. Z istotną też przyjemnością należy zaznaczyć, że zamiast tych dobroczyńców ster prądu przechodzi w ręce trade-unionów i rad municypalnych. Świeżo, przed dwoma miesiącami, rada brabstwa Devonshire ofiarowała na rok bieżący, dla utrzymania wykładów, około 25 tysięcy rubli. Należy tylko przyklasnąć temu unarodowieniu wyższej oświaty i zdjęciu z niej demoralizującego piętna filantropijnej jałmużny, dawanej w celach zaprószenia oczu; zresztą nic może być inaczej w społeczeństwie klasowem. Mianowicie przewodnicy tego ruchu liczą na to, że mianowani przez uniwersytety prelegenci ekonomii i historyi będą wykładali te przedmioty w odpowiednim duchu. Rozumie się, umunicypalizowanie wykładów nie zniesie tego zła. Pod tym względem kwestya winna być jasno postawiona. Wszelka demo-

kratyzacya oświaty wyższej powinna pozbyć się charakteru klasowego, co jest możliwe, jeśli sami słuchacze będą powoływali prelegentów według swego upodobania. Dodajmy jeszcze jedno. Oświata wyższa, póki ogarnia nieliczne koła ludowe, jak twierdzimy w Anglii i jak inaczej być dzisiaj nie może, nigdy nie stanie się „ludową.“ Wykształcone jednostki zużyją w masie swojej daną im wiedzę, aby wygramolić się na wyższe ogniwo hierarchii społecznej i przeciwstawić siebie „ludowi.“ Istniejące stypendya umożliwią im to, a kiedy znajdą się jednostki te już nad ludem, zaczną go przekonywać, że kto ma siłę w sobie, ten może się wybić i że kto klepie biedę, sam jest przyczyną tego. Jest to nowoczesny sposób pozbawiania masy ludowej energicznych umysłów i zamieniania ich na sykofantów burżuazyi. Ponieważ jednak samo udostępnienie oświaty jest warunkiem postępu, tembardziej idzie o to, aby pozbawić ów ruch charakteru klasowego, który ukrywa się w filantropii. Wyławianie jednostek energiczniejszych natomiast jest złem, z którem tymczasowo trzeba się pogodzić.

K. R. Żywicki.

LISTY PETERSBURSKIE.

1 czerwca.

Jeszcze koncert. — Kwestya pracy kobiecej.

Znowu wracam do parafialnej, męzkiej szkoły przy kościele św. Katarzyny. Zwolennicy głębokich kombinacyj i wysokich polotów, uczynią mi zarzut, że błahostkami zapełniam listy; tacy atoli, którym łza otarta więcej przynosi zadowolenia, niż intrygi wszystkich Boulangerów, przebaczą mi to nadużycie.

Wychowańcy szkoły dzielą się na cztery kategorye: jedni pozostają na opiece dobroczynności, drudzy — administracyi kościoła, trzeci uwolnieni są od opłaty wpisowego, lecz utrzymują się własnym kosztem—i nareszcie są tacy, którzy żadnych ulg nie potrzebują, jako względnie zamożniejsi.

Ze wszystkich działów członkowie trzeciego w najgorszych znajdują się warunkach: chociaż od opłaty są wolni, lecz muszą posiadać środki na odzież i książki — a niezawsze je mają. Nie dziw tedy, że nader często się zmieniają. Większość, zaledwie poduczywszy się pierwszych zasad, opuszcza szkołę.

Przez 10 lat ostatnich, gdy prefektem był ks. Wollinger, odartusów prawie niewidziano. Szanowny kapłan, dzięki licznym znajomościom, otrzymywał od prywatnych osób zapomogi, niekiedy do kilkuset rubli wynoszące. Za to pieniądze kupowano ubranie, buty, książki i obdzielano niemi podług potrzeb hołotę.

Obecnie ks. Wollinger opuścił szkołę. Nowy prefekt ks. Kołłupajło, mając mniej stosunków, nie mógł na razie opędzić niezbędnych potrzeb. Na szczęście stan przejściowy trwał niedługo; ludzie dobrej woli zaczęli przemyśliwać nad zaradzeniem potrzebie — i wynaleźli sposób — wprawdzie stary, lecz tymczasem skuteczniejszy od innych — koncert.

Urządzono go, że tak rzekę, po domowemu, bez wielkich zabiegów i prawie bez żadnych strat.

Dnia 5-go maja sala, mieszcząca co najmniej 300 osób, była przepełniona. Artyści stawili się w pełnym komplecie, koncert tedy udał się jak najpomyślniej. Środowiskiem wieczoru była bezwątpienia panna Janowska. Głos jej giętki, starannie wyrobiony i nader sympatyczny, wywołał huczne i jednozgodne oklaski. Po drugiem jej wystąpieniu byliśmy świadkami nader czułej sceny. Gromadka uczniów zbliżyła się do estrady, aby złożyć artystce podziękowanie, wyrażone w następującym wierszyku:

Mówią, że piosnka uczucie budzi,
Zaszczepia miłość, kojarzy ludzi,
Maluczkich wzmacnia, zbolałych krzepi...
...Słowik przy piosnce swe gniazdko lepi,
Kapłan śpiewając niebo ubłaga:
Słowem, pieśń wszystkim, wszędzie pomaga.
Ktoby nie wierzył w jej moc w tym względzie,
Niech twojej, Pani, piosnki posłucha,
Gdy w pierś wezbraną spłynie otucha
Wraz z nami wielbić twe imię będzie.

Wiersz, jak widzimy, niezbyt wykwintny, lecz artystka, bacząc na intencyę, przyjęła go, jako dar najcenniejszy — z wielkiem zadowoleniem, a nawet rozrzewnieniem.

Śpiew p. Szymanowskiej zyskał również jednozgodne uznanie, a chłopcy złożyli podziękę i wierszyk, którego dla zaoszczędzenia miejsca powtarzać nie będziemy.

Czystego dochodu otrzymano około 800 rubli. Zważywszy ile się to z tego grosza niezbędnych potrzeb załata, ile łez otrze, poczytujemy za obowiązek złożyć artystom publiczną podziękę.

Kobiety oczekują niecierpliwie decyzyi w sprawie otwarcia żeńskich kursów lekarskich. Jużci mówimy o kobietach poważnych, które nie wierzą, ażeby nauka niszczyła wdzięki, zaś bielidła, malowidła i końskie grzywki nad czołem podnosiły je... Badacze rozprawiają o kwestyi niewieściej w następny sposób:

Że kobieta może żąć, bronować, grabić siano, myć, gotować strawę, opiekować się ogrodem warzywnym i bydlętami, hodować, a nawet wychowywać dzieci, wiedziano o tem od wieków. To też wszelka emancypacya na wsi jest rzeczą niezrozumiałą. Wszyscy tam wiedzą, że kobieta pracuje nie mniej od mężczyzny, że w razie wdowieństwa rządzi gospodarką niegorzej od niego. W inteligencyi również mu nie ustępuje: córki bowiem dla nauczenia się czytać, potrzebują nie więcej czasu od synów.

Podział męzkiej i żeńskiej pracy przy uprawie roli przystosowywał się od czasów zamierzchłych, aż się zupełnie określił. Zresztą we wsiach ruskich, zwłaszcza tam, gdzie mężczyźni chodzą całemi masami na *przemysł*, kobiety spełniają również ich zajęcia — więc orzą, koszą, sieją, drwa rąbią.

Pierwotnych grodów, jako punktów walk wiecznych, kobiety unikały; z czasem zamieszkiwały je jako goście, więc krom szycia, prania i gotowania, nie miały nic do roboty. Budowa, okopywanie grodów nie dotyczyło ich; według zwyczaju ten wydział należał do mężczyzn.

Zauważmy, że i pierwotna żegluga, jako połączona z najściem, rabunkiem, walką, była udziałem mężczyzn. Kobieta wraz z dziatwą nie mogła ruszać w dalszą podróż; nie dziw więc, że gdy rabunek przekształcił się na wymianę, a wreszcie na handel, zakładający faktorye i stacye, niewiasty i tutaj nie brały spółudziału.

Z czasem, gdy grody i osady zamieniły się na miasta, dla działalności kobiet, krom wiadomego już szycia, prania, przyrządzania strawy, karmienia i hodowania dzieci—nie było pola. Niewielka z początku ilość kobiet w owych grodach zniewalała mężczyzn do spółubiegania się o ich względy, a że dzięki handlowi i rabunkom świecidełek nie brakowało, niemi też kupowano miłość. Tym sposobem powoli wytworzyło się o kobiecie pojęcie, jako o istocie, którą powinno się zjednywać, zarazem słabej, biernej, niezdolnej do trudów i samodzielności. One same przejęły się owym poglądem i ustalił się porządek, zadawalający obie strony w zupełności.

Niestety, nastał czas, kiedy ilość kobiet zrównała się, a nawet przewyższyła liczbę mężczyzn. I chociaż dzięki tradycyi ubieganie się o względy należało do dobrego tonu i było obowiązujące, lecz podkupywanie świecidełkami, trwające dotąd pod nazwą podarunków przedślubnych, utraciło charakter pierwotny. Coraz częściej świecidełka owe kupują się za pieniądze narzeczonej i tylko takie kobiety, które nie zmuszają swych wielbicieli do zajmowania się losem przyszłego pokolenia — otrzymują dary rzeczywiste.

Wyodrębniły się tedy dwie grupy kobiet: jedne, które kupują wielbicieli, drugie, które są kupowane. Po za niemi stoi grupa trzecia, która na kupno nie ma pieniędzy, a sprzedawać się nie chce. Te to zaczęły pytać:

— Co z nami będzie? Dajcie nam przynajmniej pracę, ażebyśmy nie pomarły z głodu.

Zrodziło się pytanie: jaka praca jest dla kobiety odpowiednią? Szycie, pranie, przyrządzanie strawy, hodowanie dziatwy — i kultura wdzięków, są to rzeczy przyzwoite — czyż można coś więcej poruczyć owym napoły niebiankom, napoły podrzędnym istotom?

Na wykład elementarnej wiedzy pod okiem wszechwiedzących rodziców można jeszcze pozwolić — i oto ukazują się guwernantki, bony, nauczycielki... Restauracye, cukiernie, kioski itp. dla zwabienia gości, lubią pomieszczać przed wystawą ponętne główki — i to jest rzeczą przyzwoitą — cóż dalej? Był czas, gdy kobiecie nie wolno było ukazywać się na scenie teatru, a i dziś porządni ludzie patrzą na to zezem.

W tem rozległa się dziwna pogłoska, że kobieta została lekarzem. Lud wiejski, zwracający się dotąd do znachorek, przyjął ową wieść bez zdumienia, jako rzecz naturalną; natomiast mądre miasta oburzyły się.

Oburzenie trwa dotąd, kobiety jednak coraz natarczywiej wdzierają się do szkół, szpitali, aptek, laboratoryów, a nawet do biur. Wszystko to jest naturalne; gdzie idzie o życie, tam igrać nie wolno, a jednak...

Cała emancypacya dzisiejsza wygląda raczej na zabawkę i niema trwałych podstaw dlatego, że kobiety zaczynają nie z dołu, jeno z góry. Wpierw się ukazały lekarki, niż felczerki, wpierw urzędniczki, niż listonoszki, redaktorki — przed zecerkami. Wszystko to zaczyna wyglądać tak, jak gdyby kobiety szukały nie pracy, jeno dowodów, że zdolne są do wszystkiego. W jednym tylko zakresie zajęły stanowisko naturalne: nim zdobyły katedrę, pełniły funkcyę nauczycielek.

Bezładne rzucanie się do tego lub owego działu pracy, pomijając wszelkie stopnie, oburza ludzi ustalonego porządku — i musimy wyznać, że mają w tym względzie pewną racyę. Dlaczego naprzykład córki rzemieślników nie uczą się w warsztatach kunsztu na równi z synami? Mniej mają sił? Możemy upewnić, iż wszelkie rzemiosło mniej ich wymaga, niż kosba lub obracanie żaren, które to zajęcia kobiety wiejskie pełnią nie gorzej od mężczyzn. Zręczności też nie zbraknie: kto umie tkać koronki, potrafi uszyć buty.

Krom zajęć, które kobiety zdobyły lub zdobywają, wskażemy im niektóre, przez sam porządek rzeczy dla nich wyznaczone.

Był czas, kiedy magnaci w przysionkach swych domów stawiali honorowych stróżów—szwajcarów. Zczasem funkcyę szwajcarów zaczęli pełnić Maćki i Szczepany. Chudeusze a wreszcie i właściciele domów do wynajęcia zaczęli naśladować możnych. W Petersburgu trudno o dom, w którymby nie stał u wejścia chłop potężny, w liberyi z błyszczącymi guzami. Obowiązkiem jego jest — jeśli łaska—otwierać przychodniom drzwi oraz utrzymywać schody w porządku. Funkcya, jak widzimy, niezbyt trudna, to też ludzie pracy widząc, jak się marnują silne ręce, uczuwają zgrozę. Wyobraźcie sobie tłum, wynoszący do 20 tysięcy jednostek, oderwany od roli, warsztatów, wygrzewający się na słońcu, lub wiodący długie konferencye z pokojówkami!

Czyżby nie można owych rąk skierować ku roli, a miejsca zajmowane przez szwajcarów oddać biednym wdowom, które dziś razem z dziatwą utrzymywane są kosztem instytucyj dobroczynnych? Kwestyi kobiecej uczyniłoby się zadość i społeczeństwu by to ulżyło.

Zwiedzając wystawne magazyny, apteki, ujrzycie wszędzie po kilku młodych, silnych chłopów, ubranych według mody i przekształconych tym sposobem na subjektów. Gdyby połowę owej armii zastąpiły kobiety, handel nie straciłby na tem, kupcy nie wywoziliby tłumu chłopaków ze wsi, miasto mniej dziewcząt wyrzucałoby na ulicę, moraliści mniej mieliby powodów do narzekania na zepsucie obyczajów.

Na rogach ulic stoją posłańcy. Przechodzeń za odniesienie według adresu listu płaci co najmniej 20 kop. Czyż nie mogłyby spełniać tego kobiety? Jest to praca nieuciążliwa i stanowisko niezależne.

W publicznych łaźniach, gdzie są oddzielne pokoje z wannami, w korytarzu stoi zwykle cały tłum wypasionych chłopów. Trwożliwa kobieta sama nie śmie iść do łazienki, bowiem usługi kobiecej nie znajdzie. Pewnego razu dwie niewiasty mężniejszej natury poszły do takiej łaźni. Chcąc napełnić wannę wodą, otworzyły kran od wrzątku, drugiego zaś nie potrafiły odemknąć; po pewnych usiłowaniach ubrały się i odeszły, gdyż zawczwać któregoś z owych drabów nie śmiały.

Zresztą Petersburg jest oryginalny w tym względzie; w miastach bowiem zachodnich, o ile mi wiadomo, łazienki obsługiwane są przez kobiety; wartoby i tutaj naruszyć ustalony porządek. Dla uniknięcia narzekań moralistów oraz nieporozumień, mogą być dwa oddziały: męzki i żeński, z odpowiednią usługą.

I tak, na każdym kroku, widzimy obowiązki, które z korzyścią dla społeczeństwa mogą i powinny być zajmowane przez kobiety. Emancypacya natomiast, szybując po obłokach, gardzi niemi. Pytanie, czy kobieta ma prawo być budowniczym, skoro niema murarek? Kto to jest budowniczy? Jest to murarz, który w ciągu wieków gromadząc wiedzę, doszedł do pewnego w tym względzie wykształcenia. Dlaczego kobiety postępują inaczej? Emancypacya, poczęta z góry, wygląda nie na poszukiwanie pracy, lecz na chęć przeniesienia swego panowania z buduarów i salonów na arenę społeczną.

Ze wszystkich działów nauki stosowanej kobiety mają dziś moralne prawo tylko (? *Red.*) do kunsztu lekarskiego, są bowiem znachorki, akuszorki, są już i felczerki. Przyjmując zaś na uwagę, że dla wielu kobiet badania ich organizmu przez lekarza — mężczyznę sprawia przykrość, a nawet cierpienie — niewiasty do owej specyalności są nawet obowiązane. *N. B.*

KARTKI.

Uniwersytet Clarke'a. Amerykanów pomawiają wciąż o to, że jedynym celem ich życia jest *business*. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać temu, iż „interes" grał olbrzymią rolę w życiu każdego yanke'a. Atoli po za nim amerykanin umie szczodrze rzucać zgarnięte pieniądze na różno cele, naukowe, filantropijne, oświaty. Nadaremnie poszukiwanoby w Europie takich publicznych instytucyj, jakie tam powstały z zapisów prywatnych. Istnieją całe szeregi uniwersytetów i akademij naukowych, które ukazały się i istnieją tylko dzięki takiej pobudce. Między innemi taką drogą powstał przed półtora rokiem uniwersytet Clarke'a, przeniknięty prądem, który coraz silniej poczyna uwydatniać się w Stanach Zjednoczonych. Jest to oddzielenie zupełne studyów przygotowawczych teoretycznych od wiedzy technicznej. Nasze uniwersytety rozpadają się w Ameryce na szereg niezależnych instytucyj. Medycyna, prawo są wykładane w specyalnych zakładach medycznych i prawnych, tymczasem nauki teoretyczne, np. biologia, historya, zośrodkowują się w innych już miejscach. Tym sposobem obok wyższych szkół lekarskich powstają uniwersytety archeologiczne (np. Peabody), historyczno-ekonomiczne (Hopkinsa) i in. Tego rodzaju zakłady liczą niekiedy zaledwie kilka dziesiątków słuchaczy, którzy mało przypominają naszych studentów, lecz raczej są już młodymi uczonymi, kształcącymi się nie tyle słuchaniem lekcyi, ile samodzielnem studyowaniem pod wskazówką wyrobionych starszych specyalistów. Tak np. uniwersytet Clarke'a posiada 5 fakultetów: matematyczny, chemiczny, fizyczny, biologiczny i psychologiczny i ma na celu wytworzenie uczonych. W przeszłym roku szkolnym (pierwszym) liczył ogółem słuchaczów około 60 — na 28 profesorów i kilku pomocników. Kursów czytano 43. Wspomnianych 60 słuchaczów wybrano z pośród 700 kandydatów, śród których znajdowali się już wychowańcy skończeni 48 uniwersytetów. Słowem, uniwersytet Clarke'a zarówno jak Muzeum Peabody, poniekąd uniwersytet Hopkinsa i in. są przybytkami wyższej wiedzy teoretycznej, gdzie niema mowy o praktycznem stosowaniu, lecz tylko o posuwaniu nauki naprzód. Środki kształcenia są różne; wykłady grają rolę najmniejszą, większą — pracownie, „seminarya" i rozprawy. Nadto każdy słuchacz wybiera sobie specyalność i pracuje nad nią, od czasu do czasu urządzając z pracownikami na niwie pokrewnej konferencye. Przeglądaliśmy rezultaty nowego roku. Słuchacze uniwersytetu Clarke'a wydali kilka prac — więcej niż nasza krakowska Akademia umiejętności i profesorzy krakowskiego uniwersytetu...

Międzynarodowa rada wychowawcza. Świeżo niejaki Herman Molkenboer, o ile można sądzić, holender, wydał niewielką broszurkę z wypracowanym projektem stałej międzynarodowej rady pedagogicznej. Mamy tu do czynienia z czemś więcej, aniżeli z prostym projektem, mianowicie znajdujemy odezwę „komitetu tymczasowego," który powstał w celu upowszechnienia idei wspomnianej instytucyi międzynarodowej i obiecuje rozwiązać się z chwilą wcielenia jej w życie. Komitet ów rozporządza dzisiaj licznym zastępem bojowym. 2,300 członkami w końcu r. 1890, rozproszonymi po różnych krajach, lecz najliczniej we Włoszech; posiada on własny swój organ, wychodzący jednocześnie w 3 językach (angielskim, francuskim, niemieckim). Projektowana stała międzynarodowa rada wychowawcza winna wypróbowywać różne środki pedagogiczne i upowszechniać je w razie przyjęcia. Rozpadałaby się ona na sekcye: szkolną, zakładów nauczycielskich, wychowania dziewcząt i chłopców, hygieny szkolnej, statystyki szkolnej itp. Za podstawę winny jej służyć odpowiednio zorganizowane krajowe ciała pedagogiczne. Doświadczenie, zdobyte w pewnym kraju na polu pedagogicznem, wkrótce przechodziłoby do innych, a zjazdy międzynarodowe przyczyniałyby się silnie do tego ujednostajnienia postępu w zakresie wychowania.

Podajemy sam projekt w najogólniejszych zarysach, nie wdając się w streszczanie dowodów, przytaczanych na jego korzyść. Dzisiejsze warunki cywilizowanego życia wprost prowadzą w licznych dziedzinach życia do takich międzynarodowych organizacyj, jak rozpatrywana rada pedagogiczna. Konieczność ta musi wzrastać w miarę tego, jak międzynarodowa wymiana towarów będzie posuwała się coraz dalej w swoim rozwoju. Szybkie i uregulowane krążenie myśli ludzkiej, środków pedagogicznych i płodów umysłowych idzie w parze z rozszerzaniem się obiegu towarowego i jest bezpośredniem jego następstwem. Wspomniana broszurka dostarcza wybornego dowodu na poparcie tego zapatrywania. W końcu jej znajdujemy opis urządzenia Izb handlowych w kraju i ich ogólno-krajowej organizacyi. Otóż p. Molkenboer według tego wzoru kreśli organizacyę krajowo-pedagogiczną. Nasze Towarzystwo zachęty handlu i przemysłu właśnie należy do takich Izb handlowych. Wzięcie takiego wzoru bynajmniej nie jest przypadkowe. Wymiana towarów jest pierwszą sprawą, która rozszerza ramy widnokręgów miejscowych, i z tego powodu przedewszystkiem doczekała się odpowiednich instytucyj. Inne wymiany czekają, póki ona nie oczyści pola.

LIBERUM VETO.

Częstość zaćmień. — Prawidłowość natury i skromne potrzeby człowieka. — Rozmowa ziemi z niebem. — Spór o testament hr. Walewskiego. — Szczególny dar dla Kasy Mianowskiego. — Dowód bezprzytomności. — Skarcenie napastników naszego chowu. — Co raz smakuje, drugi raz oburza. — Szkoła dla dentystów. — Protest z „figlami walki o byt." — Lekarze prowincyonalni jako dentyści. — Ślepowron, Zola i ja. — Za trudna zagadka.

Rok obecny rozszerzy i utrwali naszą wiedzę astronomiczną, przynajmniej w jednym jej punkcie. Kto teraz nie nauczy się teoryi zaćmień i nie zapamięta, że pomiędzy ciało obserwacyjne a świecące musi wejść trzecie, które zasłoni drugie — ten nie ma prawa przyznawać się nawet do plemiennego pokrewieństwa z Kopernikiem i co do swej osoby (w imieniu ogółu nie radzę przemawiać) może go odstąpić niemcom. W krótkim stosunkowo przeciągu czasu widzieliśmy jedno całkowite zaćmienie księżyca i dwa cząstkowe — słońca, a za każdym razem mistrzowie dziennikarscy wyjaśnili uczniom swoim przyczyny tego zjawiska. Nie należy jednak sądzić, ażeby rok bieżący był pod tym względem wyjątkowy. Natura jest w swej prawidłowości uparta i chociaż widzi, że ludzie urządzają sobie częste i długie zaćmienia, nie naśladuje ich i nie zmienia swego regulaminu. Wielka to z jej strony poczciwość, a dla nas szczęście. Bo chociaż człowiek jest stworzeniem najmniej wybrednem i może jak pleśń żyć bez światła, zwierzęta jednak i rośliny potrzebują tego daru przyrody i nie chcą, jak ludzie, poprzestać na kagankach i świeczkach swojej cywilizacyi. Ponieważ zaś one nas karmią i utrzymują, więc gdyby natura długiem zaćmieniem je zniszczyła, znaleźlibyśmy się w gorszem położeniu, niż wtedy, kiedy między nami a słońcami wiedzy, promieniami szlachetnych uczuć i gwiazdami cnoty znajdzie się na linii prostej i rzuci swój cień nikczemność, barbarzyństwo lub głupota. Ta wszechmatka wogóle nie zdaje się zwracać zbyt wielkiej uwagi na swe najdostojniejsze dzieci, ale czasem jak gdyby rozumiała grunt ich istoty. Nieraz bowiem, gdy one wołają: światła! — ona daje im kartofle, ziarnka zboża lub drogocennego metalu i natychmiast je uspokaja. Wówczas podobno duchy słyszą rozmowę ziemi z niebem, które odsyła jej skargi ludzkie, a ona mu odpowiada: Nie płacz nad tymi panami stworzenia — aby tylko mieli żłób, będą zadowoleni chrupali obrok nawet po ciemku.

Przy zasobnym śpichrzu, pozostawionym przez hr. Walewskiego, rozpoczęła się walka. Niektórzy spadkobiercy wystąpili do sądu ze skargą, twierdząc, że niejaki p. T. Romocki, wyzyskując na swą korzyść nieprzytomność zmarłego, nakłonił go do podyktowania testamentu przeciwnego prawu i zamiarom nieboszczyka. Chodzi tedy o unieważnienie jego ostatniej woli, spisanej rejentalnie, ale bezświadomie. Ponieważ sąd nakazał zbadanie świadków i sprawa rozpoznawana będzie szczegółowo, więc nie dotykam zasadności skargi i obrony. Wydobędę tylko z tej ostatniej jeden punkt, który obchodzi ogół, a wymaga rozjaśnienia. Walewski miał jakoby zapisać wydawnictwo *Słownika geograficznego* Kasie Mianowskiego. Chyba drugi podobny legat nie zdarzył się w dziejach ludzkości. Zwykle bowiem umierający ofiarują swym wybranym dary; ale żeby komuś obcemu przekazywali długi lub ciężary, dla których mogliby pozostawić fundusz — o takich dobrodziejach nie słyszałem. Byłby to nadzwyczaj łatwy sposób pośmiertnej filantropii. Tą drogą nieboszczyk Gebethner mógł był np. zobowiązać parę kapitalistów do wybudowania domu dla Towarzystwa sztuk pięknych. Wprawdzie na obronę dziwnego

pomysłu przytoczono, że Kasa Mianowskiego jest instytucyą wspierającą przedsięwzięcia naukowe, alež ona chyba sama powinna je wybierać, a nie poddawać się cudzej woli; wprawdzie nadmieniono również, że nierozsprzedane egzemplarze wydanych dotąd 10 tomów *Słownika* przedstawiają pewną wartość, ale trudno liczyć na ich zbyt wobec wysokiej ceny foliałów i mniemać, że one kiedyś znajdą amatorów, na których od tak dawna daremnie oczekują. Jeżeli Walewski istotnie wyraził takie życzenie, to był stanowczo nieprzytomny. Niepodobna bowiem przypuścić, ażeby on, znający koszta i niedobory tego wydawnictwa, świadomie zwalał je na barki instytucyi dobroczynnej pod tytułem mimowolnie humorystycznego daru, nadto ażeby dla dalszych losów przedsięwzięcia, w które tyle włożył środków i usiłowań, okazał się zupełnie obojętnym w ostatniej chwili i przeniósł nad nie dalekich krewniaków, którzy go bardzo mało lub wcale nie obchodzili. Żaden człowiek w ten sposób nie rozstaje się ze swem dziełem, z pracą, którą ukochał, zwłaszcza gdy posiada możność ubezpieczenia jej nawet po swej śmierci. Czyż to on umierał biedakiem lub musiał zapewniać przyszłość ubogim i drogim mu istotom? Bynajmniej, umierał bogaczem i nie miał blizkich spadkobierców, a między dalszymi—nędzarzów. Jeżeli tedy jest dla nas zupełnie obojętnem, czy majątek po nim dostanie się Pawłowi i Piotrowi, czy Janowi i Kacprowi, to nie jest i nie może być obojętnem, co się stanie ze *Słownikiem*. Takie olbrzymie wydawnictwo nie znajdzie u nas nakładcy, a skoro zawdzięcza swe istnienie Walewskiemu, niech on mu z za grobu swojej hojnej ręki nie cofa. Ze względu na ten cel, na dobro społeczne pragnęlibyśmy rozstrzygnięcia sprawy, którćby mu powróciło odebraną pomoc. W swoim czasie upomnimy się o to, którakolwiek strona proces wygra. Zwycięzcy nie odejdą ze spadkiem a bez obowiązku spłacenia długu, który ciąży na majątku Walewskiego jako służebność moralna.

Jakaś niezwykła pobudka skłoniła kilka pism do wylewów gniewu na obrażonych aktorów teatrzyku ogródkowego, którzy napadli sprawozdawcę *Ziarna*. Mówię: niezwykła, gdyż najczęściej prasa nasza przypatruje się milcząco lub nawet z zadowoleniem daleko gorszym i nikczemniejszym atakom, niż ordynarna zemsta brutalnych histryonów. Do karcących tę napaść głosów my swojego nie dołączamy, gdyż piętnujemy stale wszelkie tego rodzaju rozprawy i rozciągamy naszą do nich odrazę po za granice burd ulicznych. Chociaż te ostatnie są wstrętne, nie ustępują im w zacności inne, w których ludzi odmiennych przekonań odziera się z honoru, posądza o nizkie cele, omazuje kłamstwem i potwarzą. Bardzo to pięknie, że prasa chociaż czasem uczuwa potrzebę wystąpienia w obronie tolerancyi, ale jeżeli chce to prawo w świadomości swojej i ogółu wyryć głęboko, niech go strzeże stale i nie ofiaruje mu na usługi tylko kaprysów rycerskości. Niedawno jeden z plugawych dzienniczków niemieckich posądził publicznie poważną i uczciwą gazetę o tajemne stosunki z rządem francuskim. Pisma najrozmaitszych barw potępiły to oszczerstwo tak energicznie, że skrzywdzony nie potrzebował sam się bronić. Tymczasem czy nasza prasa zdobyłaby się na taką sprawiedliwość, gdyby którykolwiek z jej organów posądzony został np. o związek z bandytami tureckimi, którzy rabują pociągi? Co by ją to obchodziło? Jeszcze by taki protest mógł odstraszyć ze dwu prenumeratorów... tych wszechwładnych panów wiedzy i sumienia dziennikarskiego, dla których udajemy konserwatyzm, religijność, ciemnotę, paraliż mózgu, różne kalectwa umysłowe, a którzy wcale tego od nas nie pragną. Stwórzmy naprzód szkołę tolerancyi, a potem dopiero wymagajmy jej wpływów i skutków.

Nie stosuję tego bynajmniej do dentystów, w imieniu których przemówił za pośrednictwem *Kuryera warszawskiego* p. W. Bieńkiewicz. Zaniepokojony wiadomością o mającej powstać w Warszawie pod opieką lekarzy szkole dentystycznej, któraby zastąpiła dotychczasową naukę w gabinetach prywatnych i zwłaszcza prowincyi dostarczyła uzdolnionych dentystów, usiłuje wyrwać temu projektowi grunt słuszności i pożytku. Gdyby racye autora były mocniejsze, nie potrzebowałyby tylu obwijek w słowa ciemne, których całkowicie rozplątać niepodobna. Mierzy on i strzela, ale jego naboje powietrzem wypełnione nie dolatują do celu. Według niego zamierzona szkoła może być albo odrębną instytucyą, albo gabinetem jednego z lekarzów. W pierwszym wypadku, będąc narzędziem reklamy dla współwłaścicieli, nie przyniesie żadnej korzyści społeczeństwu, gdyż naprzód „nie będzie miała zupełnie odpowiedniego i niezależnego dyrektora“ (dlaczego?), a powtóre wymagałaby bardzo wielkich środków i licznych pacyentów, „co może być osiągnięte *tylko* najwyuzdańszymi (?) i najszkodliwszymi figlami walki o byt“ (dlaczego?). W drugim zaś — szkoła owa nie dałaby w pracowni lekarskiej tych „ostatnich postępów“ wiedzy, którą nabywać mogą w „mających ustaloną opinię gabinetach prywatnych.“ I znowu spytać należy: dlaczego? Dlaczego kierownicy szkoły, lekarze dentyści używaliby „najwyuzdańszych figlów walki o byt,“ dlaczego nie mogliby dać swym uczniom „ostatnich postępów dentystyki,“ których źródło tryska jedynie w gabinetach prywatnych, mających już ustaloną opinię? Wszystkich tych szkód, niebezpieczeństw i okropności, odmalowanych nam przez p. B., nie a nie nie pojmujemy, chociaż szczerze radzibyśmy niemi się przerazić. Tymczasem ogołocona z wszelkich „figlów walki o byt“ kwestya przedstawia się nadzwyczaj prosto. Jakkolwiek terminowanie we wszystkich gabinetach prywatnych, bez względu na to, do kogo one należą, może dać uczniowi pewną sumę wiadomości praktycznych, to jednakże podstawą jego ukształcenia winna być nauka szkolna. Szkoła bowiem zajmuje się nie wyzyskiem i zarobkiem, ale uczniami, jej objaśnienia nie są doraźne, ale systematyczne i stałe. Dentystyka pozostaje jeszcze w tym stanie, w jakim są rzemiosła, a w jakim dawniej były wszystkie nauki. Kto chciał poznać chemię lub astronomię, wstępował do „gabinetu prywatnego.“ Logika nigdy rozumu nie zawodzi, więc i w tym wypadku poradzić się jej warto. Ponieważ dentystyka jest częścią chirurgii, a nalepiej ma być uprawiana w „gabinetach prywatnych,“ dlaczego by nie przenieść do nich również nauki wszelkich operacyj? Po co tu uniwersytet i kliniki, kiedy pomyślniej spełni ich zadanie praktyka u chirurgów „z ustaloną opinią“? Ludzkość na tę drogę nie wstąpi, bo z niej dawno zeszła i we wszystkich gałęziach pracy ciągle zamienia terminowanie na szkołę. Czy projektowany zakład w Warszawie będzie wzorowym, to inna sprawa, której przesądzać nie myślę. Ale jeżeli on tylko istotnie zacznie dostarczać prowincyi dentystów zdolnych, obznajmionych z nowszemi zasadami i postępami tej sztuki, wyświadczy społeczeństwu przysługę. Nie życzę przeciwnikom podobnej szkoły źle, ale chciałbym, ażeby zamieszkali przez jakiś czas w Wąwolnicy lub Miechowie i ażeby ich tam zęby zabolały. Jeszcze z całymi poradzi sobie małomiasteczkowy felczer, ale biada temu, komu dokuczą spruchniałe. Lewarek pieńków nie chwyci — więc trzeba cierpieć lub jechać do miasta gubernialnego. A ileż razy mieszkańcy Sandomierskiego, Augustowskiego lub Hrubieszowskiego jeżdżą do Warszawy dla wyjęcia zęba! Tutejszym dentystom jest bardzo przyjemnie mieć klientelę w całym kraju, ale ogółowi nieprzyjemnie wędrować do nich. Możnaby to nazwać „anormą“ — jak mówi p. Bieńkiewicz. Chociaż wszakże nadzwyczaj nierad on temu, że lekarze wzięli się do dentystyki, nie ulega wątpliwości, że zwłaszcza prowincyonalni powinniby wykształcić się w niej należycie. Bo czyż zdarza się jakakolwiek choroba częściej od bólu zębów i czy wyjmowanie ich nie należy do najpowszedniejszych operacyj? Gdyby doktorzy prowincyonalni posiadali odpowiednią wiedzę i sztukę, gdyby zaopatrywali się w potrzebne narzędzia, rozszerzyliby swoją praktykę, pomnożyli dochody i zasłużyliby na wdzięczność pacyentów, zmuszonych dziś poddawać się torturom felczerskim lub odbywać dalekie podróże. A dokąd nas prowadzi prostą drogą to życzenie? Do szkoły dentystycznej, która, jeżeli nie może powstać przy uniwersytecie, niechże powstanie na polu przedsięwzięć prywatnych.

Uwagi moje o Zoli w obszernym wyciągu przyszył kronikarz *Niwy* do swej polemiki z Ślepowronem (nawołującym w *Gazecie warsz.* szlachtę do przyswajania sobie postępów nauki). Nie wstydzę się nigdy mojej niewiadomości, więc i tym razem szczerze wyznaję, że nawet nie mogę się domyśleć, w jakim logicznym i przedmiotowym związku pozostaje technika powieściowa Zoli z postępem i konserwatyzmem. Muszę przeto zrzec się wszelkiej odpowiedzi. Nie miałbym sił do rozwiązania zagadki: czerwono-białe — koń nie lubi żaby — dlaczego?

Poseł Prawdy.

NOWA USTAWA TOW. DOBROCZYNNOŚCI.

Według nowej ustawy, instytucya ta zmieni swoją postać w następujący sposób: Celem Towarzystwa jest dopomaganie biednym m. Warszawy, a więc: utrzymuje tanie kuchnie, zaopatruje ubogich w odzież, ułatwia im pomoc lekarską i dostarcza lekarstw, dopomaga robotnikom w nabywaniu materyałów i sprzedaży ich wyrobów, utrzymuje przytułki dla starców, kalek i dzieci, umieszcza te ostatnie w warsztatach prywatnych, przyjmuje drobne wkłady, które przesyła do kas oszczędności i nareszcie — dostarcza ubogim książek do czytania według zatwierdzonych przez rząd katalogów. (czytelnie bezpłatne). Towarzystwo składa się z nieograniczonej liczby członków obojga płci, wszelkich stanów i stanowisk społecznych. Członkowie dzielą się na: honorowych, rzeczywistych i protektorów. Pierwsi są wybierani na ogólnych zebraniach za szczególne zasługi, drugimi mogą zostać ci, którzy rocznie przynajmniej 3 rs. wnoszą do kasy Towarzystwa lub pracą swoją przynoszą mu pożytek. Wysokość składek oznacza Zgromadzenie na trzy lata. Członkami protektorami są osoby, które opłacają rocznie przynajmniej rubla. Nie mogą oni być wybierani do zarządu.

Fundusze tworzą się: z odsetek od kapitałów i nieruchomości, ze składek członków, z ofiar w pieniądzach, przedmiotach i nieruchomościach, z dochodów, których dostarczają odczyty, koncerty, widowiska itp., urządzane na korzyść Towarzystwa za zgodą władzy. Pozostałości po zamknięciu bilansu rocznego, na mocy uchwały zebrania ogólnego, obracane są na powiększenie kapitału żelaznego lub potrzeby lat następnych. Kapitał ten, umieszczony w papierach rządowych lub przez państwo poręczonych, przechowuje się w kantorze Banku państwa, również jak i wszelkie sumy Towarzystwa, składane na procent. Kasyer otrzymuje tylko sumę niezbędną na potrzeby bieżące, w wysokości określonej przez zebranie ogólne.

Kierownictwo spraw należy do zarządu i ogólnego zebrania. Zarząd składa się z wybranych na ogólnem zebraniu 12 członków, prezesa, dwóch wiceprezesów, kasyera i sekretarza. Posiedzenia zarządu zwołuje prezes według własnego uznania i na żądanie 1/3 członków, w miarę potrzeby, przynajmniej raz na miesiąc. Posiedzenie jest ważne, jeżeli stawi się przynajmniej 7 członków. Sprawy rozstrygane są większością

głosów. Zarząd mianuje i uwalnia ze służby wszystkich urzędników i wyznacza im pensye, kieruje zakładami dobroczynnymi, układa budżety i sprawozdania, oznacza rodzaje pożywienia dla ubogich, utrzymywanych przez Towarzystwo, zawiera umowy, wydzierżawia nieruchomości, umarza pożyczki w terminie, rozstrzyga o sprzedaży nieruchomości, stara się o powiększenie funduszów instytucyi itd. Pod jego kierunkiem znajdują się też oddziały; on organizuje opiekunów cyrkułowych.

Zebrania ogólne członków bywają: zwyczajne, zwoływane dwa razy rocznie w końcu każdego półrocza i nadzwyczajne, zwoływane w miarę potrzeby przez zarząd lub na żądanie przynajmniej 25 członków. Zebranie rozstrzyga o wszystkich sprawach prostą większością głosów, z wyjątkiem zmian w ustawie lub zamknięcia Towarzystwa. Wtedy niezbędna jest obecność przynajmniej $^2/_3$ członków i zgoda $^2/_3$ obecnych. Przedstawicielem wobec rządu jest prezes, wybrany na ogólnem zebraniu i zatwierdzony po przedstawieniu warszawskiej Radzie miejskiej—przez Naczelnika kraju. Towarzystwo znajduje się pod zwierzchnią władzą ministra spraw wewnętrznych. Ma prawo pieczęci. Nieruchomości i kapitały są własnością społeczeństwa i nie mogą być użyte na jakiekolwiek inne cele. Towarzystwo korzysta ze wszystkich praw i przywilejów, nadanych tego rodzaju instytucyom. W korespondencyach, rachunkowości i protokółach będzie używało języka ruskiego.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Od r. 1889 do 1 stycznia r. b. otwarto w całem państwie 1265 kas pocztowo-telegraficznych, wszystkich zaś kantorów pocztowych jest 3,149. Suma wkładów dosięgła ogółem 2,247,621 rs. 69 kop. Na każdą książeczkę wypadło przeciętnie 52 rs.

— Większość ochotniczych straży ogniowych czyni starania w Petersburgu o udzielenie im zapomóg dla zaopatrzenia się lub powiększenia potrzebnej liczby narzędzi ratunkowych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych upoważni ziemstwa gubernialne do udzielania bezpłatnych paszportów rocznych dla włościan, dotkniętych nieurodzajem, pogorzelą lub gradobiciem, udających się na za-[illegible]

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej przeznaczył rs. 500 [illegible]ego zasiłku dla dwóch ochron, otwartych na Nowej Pradze i Szmulowiźnie.

— Pracownicy jednego z zakładów stolarskich — pisze *Kur. warsz.* — udawali się do władzy policyjnej z zażaleniem, iż właściciel dopuszcza się względem nich nadużyć, dowolnie oznacza im płacę, uwalnia od zajęć bez poprzedniego wymówienia itd. Wskutek tego władza policyjna wytoczyła śledztwo, a protokół przesłała do władzy miejskiej z zapytaniem, czy sprawa ta nie może być rozstrzygniętą na drodze administracyjnej. Magistrat wyjaśnił, iż na zasadzie postanowienia b. namiestnika królewskiego z r. 1816, wszystkie spory pomiędzy terminatorami, czeladzią i majstrami, w razie nierozstrzygnięcia ich przez właściwe urzędy starszych zgromadzenia, powinny być oddawane pod decyzyę sędziów. Ponieważ w danym wypadku do urzędu starszych nie zgłaszano się, zatem sprawa powinna być skierowana na drogę sądową.

— Rada miejska warszawskiej dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis p. Leona Wroczyńskiego dla tutejszego Towarzystwa dobroczynności w sumie [illegible]

— Szach perski pozwolił na przyjmowanie żydów ruskich z kraju Zakaspijskiego.

— Pisma ruskie donoszą, iż senat oddał pod sąd marszałka szlachty pow. birskiego, Szestakowa, za nadużcia w zarządzie sprawami konsumcyjnemi.

— Bankier Jouannot, główny organizator wystawy francuskiej w Moskwie, zbiegł z Paryża. Niedobór wynosi podobno kilka milionów franków.

Szkoły. Minister komunikacyi wydał rozporządzenie, iżby wakacye dla uczniów szkół kolejowych trwały od 27 czerwca do 13 sierpnia.

— Przepisy o przyjmowaniu kandydatów do szkół technicznych przy kolejach żelaznych ulegną zmianie w ten sposób, iż będą przyjmowane dzieci wyłącznie tutejszych poddanych w wieku od lat 14 do 18. Uczniowie tych szkół do czasu ukończenia kursów teoretycznych i praktycznych będą uwolnieni od służby wojskowej do 24 roku życia.

— Ministeryum oświaty projektuje komisye egzaminacyjne dla różnego rodzaju techników.

— Instytut inżenierów komunikacyi ukończyło w r.b. ogółem 55 studentów, w tej liczbie 15 z dyplomem 1-szej klasy.

— Termin składania próśb o przyjęcie do akademii wojenno-medycznej w Petersburgu oznaczono od 13 czerwca do 27 lipca n. st. Prośby złożone po terminie nie będą uwzględniane.

— Egzaminy gimnazyalne już się rozpoczęły we wszystkich klasach.

— Program egzaminów na obrońców prywatnych ma być znacznie rozszerzony. Odpowiedni projekt opracuje ministeryum sprawiedliwości.

— Rząd austryacki zamierza powoli upaństwowić w Galicyi wszystkie szkoły średnie gminne.

Sprawy kolejowe. Na kolei Warszawsko-Petersburskiej robiono próby z hamulcem pomysłu inżeniera mechanika Rizzoniego. Każdy dróżnik za pomocą tego przyrządu, niezależnie od maszynisty, może w biegu wstrzymać pociąg. Próba zupełnie się powiodła.

— Studya budowy kolei żelaznej pomiędzy Tomskiem a Czelabą zostały już ukończone.

— We Włoszech rozpoczęto próby opalania pociągów lignitem.

Zjazdy. W Warszawie odbywa się zjazd techników kolejowych.

— W Odesie otwarto zjazd hodowców owiec, w celu ułatwienia wywozu do Francyi.

Przemysł i handel. Inspekcya dla handlu zbożem, będzie miała na celu wykorzenienie nadużyć w handlu zbożowym, jak np. fałszowanie ziarna i wagi.

— W celu podniesienia upadającego przemysłu tkackiego w guberniach wytwarzających len, ministeryum dóbr państwa ma dostarczać warsztatów tkackich ubogim rękodzielnikom na wypłaty w ciągu lat kilku, tudzież zaproponować władzom wojskowym i morskim robienie u nich zamówień na płótno.

Trzęsienie ziemi nawiedziło Włochy południowe. Ucierpiały głównie miasta. Verona, Vicenza, Medyolan [illegible]

Zmarli. Ksawery Syrewicz w Warszawie, artysta muzyk, kompozytor wielu utworów tanecznych.

— Emeryk Paprocki w Tuluzie. Znany z działalności na polu publicznem. Pełnił przez pewien czas obowiązki inżeniera komunikacyj i dróg w Warszawie. Ostatnio był zastępcą dyrektora Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy.

— Aleksander Weselowski w Petersburgu, redaktor *Wiestnika finansów*.

— Aleksander hr. von Keyserling w Kraju Nadbałtyckim, uczony geograf i podróżnik.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Józ. Kw. w Warszawie. Żałujemy wraz z Panem, że dzienniki nasze znowu coraz bardziej powracają do dawnego nałogu fabrykowania t. z. telegramów z gazet zagranicznych, ale cóż na to poradzić możemy! Widocznie w naszej prasie nie utrwalił się przyjęty w całym świecie zwyczaj nazywania telegramami tylko wiadomości drutem sprowadzanych.

Panu W. Leś. Istotnie gazety zagraniczne donoszą, że Edison wynalazł *kinetograf*, przyrząd, odbijający zdala obrazy i całe sceny, ale tyle dziś kłamie się w dziennikach, że wolimy poczekać na doniesienie pe-[illegible]

Panu Wacł. K. O warunkach przyjęcia do zakładów naukowych zagranicznych nie objaśniamy z zasady, gdyż zachodzą tam często niewiadome nam zmiany, które uniemożliwiają dokładną informacyę. Niech się Pan zwróci do któregokolwiek z polaków, w Karlsruhe przebywających: „Wissenschaftlicher Leseverein, Werderstrasse 9."

Pani Felicyi P. Odpowiemy listownie. Tom II *Hist. XIX w.* wysyłamy; należy nam się rs. 1 k. 15. Co do *Encyklop. dla dzieci* druk jej musi postępować bardzo wolno.

W. F. Zet. List w załączonej kopercie wysłaliśmy.

Sprostrowanie. W odpowiedzi p. St. Kr. (nr. 22) winno być: „sumienie *nie* jest" itd.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 1 Іюня 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.